Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V — Warszawa, 6 luty 1949 r. — Nr 5 (167)

Paweł Jasienica

ZMORA ZAŚCIANKA

SPRAWA CONRADA

Ku końcowi zeszłego roku jedna z polskich firm wydawniczych*) wypuściła w świat „Złotą strzałę" Conrada. Zaraz po wojnie rozeszła się niezapełnie na szczęście ścisła wiadomość o tym, że wykończone już przez Anielę Zagórską tłumaczenie tej powieści spłonęło podczas powstania. Teraz jednak z uwag wstępnych Parandowskiego oraz z krótkiej adnotacji wydawniczej dowiedzieliśmy się, iż część rękopisu tłumaczenia udało się ocalić spod gruzów domu, w którym mieszkała zmarła tłumaczka. Resztę uzupełniły Jadwiga Korniłowiczowa oraz Karola Zagórska i oto mamy w ręku pięknie wydaną, nieznaną dotąd u nas książkę pisarza, którego droga powrotna do kraju była równie niezwykła, jak i koleje jego życia.

„...po roku 1918, gdy wolność uśmierzyła w nas rozdrażnioną czujność, dokonał się powrót Conrada do kraju w orszaku dzieł, których przekłady były przedmiotem zachwytu i rozwagi w takiej skali, jakby się dopiero co ukazały i jakby ich autor wyrósł ze współczesnego plemienia pisarzy polskich" — powiada Parandowski. A po roku 1939 przyszedł taki czas, kiedy „atmosfera moralna, ożywiająca jego dzieła... wierność, honor, obowiązek, poczucie odpowiedzialności, odwaga, wytrwałość" stały się pomocne w dobie wszechwładnego calamitatis regni.

Nie mam zamiaru pisać recenzji ze „Złotej strzały" — inni napewno zrobią to znacznie lepiej ode mnie — niech więc czytelnik nie oczekuje żadnych rozważań nad wartościami tej książki. Zresztą to co piszę poszukuje oparcia nie w samej powieści lecz w dziedzinie faktów, przypomnianych w owym artykule wstępnym Jana Parandowskiego, drukowanym już uprzednio w „Tygodniku Powszechnym".

Oto jeden z pierwszych prozatorów świata. Francuzi zazdroszczą tego pisarza Anglikom. Do dzisiejszego dnia nie mogą przebaczyć pewnej młodej Francuzeczce z wyspy Mauritius tego, że kiedyś tam odrzuciła uczucie Conrada. A gdyby nie to — byłby jeszcze jeden wielki écrivain français. Na literacie tym pierwszy z Brytyjczyków poznał się H. G. Wells, ten sam, który rodaków swego protegowanego nazywał później „narodkiem o nacjonalistycznych gestach i faszystowskiej duszy". Całkiem tak jakby kogoś bardzo zdolnego wielcy tego świata zdecydowali się wpuścić do swego towarzystwa, uznać za równego sobie pod każdym względem, co jednak absolutnie nie wpłynęło na zmianę opinii o środowisku, z którego ów nobilitowany pochodził.

Z tego co napisałem nie zamierzam wcale kuć broni propagandowej przeciwko Anglikom. Koleje życia i sławy Josepha Conrada są jednak tego rodzaju, że niewiele stąd blasku dla atmosfery kulturalnej Polski ówczesnej. O przyczyny tego nikt nie pyta, bo liczy się tylko istniejący stan rzeczy.

„Codzień, w drodze do gimnazjum — pisze Parandowski o młodości Conrada — mijając bramę Floriańską, odczuwał wśród starych kamieni znany wszelkiej prężnej młodości ucisk serca na myśl, że tymi ulicami, zmieniwszy po pewnym czasie teczkę uczniowską na urzędniczą, dojdzie do grobu, w którym pochowano ojca wraz z popiołami wszystkich złudzeń i nadziei". A później: „Po wielekroć wuj, otrzymując listy pełne barw i smaku świata, wzywał utrapionego próżniaka do pisania obrazków z podróży, podając mu adresy „Wędrowca" i „Kraju". — Obrazki z podróży... „Nie trudno sobie odtworzyć przyjęcie, jakie by groziło „Szaleństwu Almayera" i „Wygnańcowi", książkom tak oderwanym od naszego świata".

Bo u nas już od bardzo dawna istnieje przede wszystkim zapotrzebowanie jeżeli nie na mistyczno - narodową abrakadabrę, to na „obrazki z podróży", albo dydaktyczne opowiastki, albo na rozmaite inne rzeczy, które trzymają się ściśle aktualnych spraw rodzinnego zaścianka i poza jego granicami nikogo przeważnie nic a nic nie obchodzą. Z tego też względu nigdy nie podzielałem zapatrywań ludzi mających żal do Conrada o to, że nie pisał po polsku. Ostatecznie jest się nie tylko Polakiem lecz i Europejczykiem. I co jest lepiej, czy żeby wielki talent kisł na prowincji i wykrzywiał się w „młodopolskie" piruety i maniery czy też, żeby wzbogacił literaturę świata o rzeczy na miarę Fidiasza? Drobno - nacjonalistyczna zachłanność i zawiść to uczucia godne pogardy. Co innego, że nie bez goryczy są rozmyślania o problemie Conrada, czyli jednego z niewielu Polaków, którzy naprawdę zaważyli na dziejach kultury światowej. Cóż, trzeba wyznać bez ogródek, że dopiero uwolnienie się od zmory rodzinnego zaścianka, przełamanie parafiańskich barier i widnokręgów — dopiero to wszystko dało pisarzowi możność wielkiej twórczości. Niemiła to prawda. Ale nie warto jej wymijać. Raczej odwrotnie — konkretny przykład drogi życiowej Conrada pomocny będzie przy obrachunku doświadczeń doby obecnej. Z tego też właśnie względu artykuł, który nie jest poświęcony sprawom literackim rozpocząłem od rozważań nad losami wielkiego literata.

Zysk, jeden z niewielu.

Myślę, że to wszystko co dotąd zostało napisane na temat polskich błędów ostatnimi czasy popełnionych — zebrane razem utworzyłoby potężny tom, a może nawet cały księgozbiór. Trudno zaprzeczyć — poziom myślenia o sprawach publicznych nie był u nas wysoki. Ale po tylu powikłaniach i gorzkich doświadczeniach, po zawodach i długiej litanii żałosnych i śmiesznych pomyłek można sobie na pociechę powiedzieć jedno. Oto nareszcie zrozumieliśmy tę prostą prawdę, że losy naszego kraju zależą nie tylko od naszej woli i chęci, że wiążą się najściślej z rytmem dziejów naszego kontynentu i świata. Prawda to zawstydzająco prosta. A jednak ujawnienie jej bardzo drogo nas kosztowało. Bo tak mi się wydaje, że większość naszych niedawnych błędów — zwłaszcza zaś tych najcięższych — stąd właśnie wynikła, żeśmy stali przy pewnym bardzo starym, zwietrzałym już i zapomnianym haśle.

W roku 1846 pewien Włoch imieniem Massimo D'Azeglio — artysta, oficer i działacz polityczny w jednej osobie — wydał pamflet polityczny p. t. „Niedawne wydarzenia w Romanii". Pisał tam (cytuję za prof. Januszem Iwaszkiewiczem), że „Włosi... winni, nie oglądając się na podstępną i tchórzliwą Europę, przystąpić do wykuwania swej przyszłości". W tymże roku — i w ścisłym związku z tymi pomysłami — Karol Albert, król Sardynii, rzucił słynne hasło: Italia farà da sè. Co miało znaczyć, że Włochy same sobie poradzą i nie potrzebują nikogo. Historia Italii w sposób jak najbardziej oczywisty wykazała niesłuszność tego powiedzenia. Wszyscy wiedzą, że Cavour dlatego tylko zdołał zapewnić Włochom jedność i niepodległość, iż potrafił bardzo sprytnie grać na europejskiej koniunkturze politycznej. Ale tak to już czasem bywa, iż rzeczywistość polityczna idzie jednym torem a nawyki myślowe całkiem innym. Casus taki przytrafia się najczęściej — na prowincji.

Weźmy efektowne hasło Karola Alberta i zamieńmy w nim słowo „Italia" nazwą naszej ojczyzny. — Polonia farà da sè: Polska sama sobie poradzi. Jesteśmy w domu — prawda? Przypomina się lato roku 1939.

Zresztą przy ocenianiu pomyłek owego lata 1939, czy też roku 1938, czy całego dwudziestolecia drugiej niepodległości popełnia się charakterystyczny błąd, żałośnie świadczący o niezrozumieniu tego faktu, iż dzieje naszego kraju były wypadkową losów kontynentu.

Aż dziwno czasem człowiekowi obejrzeć się wstecz i przypomnieć sobie te czasy z przed lat dziesięciu. Jak można było uważać za stan niewzruszalny i trwały to, co nie było niczym więcej jak tylko przemijającą — i to szybko — falą historii? Każdy praktyk życiowy odpowie mi nie bez słuszności, że owo poczucie stałości było rzeczą konieczną, bo bez niego niemożliwa by była wszelka praca. No tak. Jednakże zamało było u nas ludzi rozumiejących położenie, chociaż absolutnie nie brakowało materiału do wysnuwania wniosków. Prawdę powiedziawszy, wszystko leżało przed oczyma. Nawyki myślowe kazały nam wierzyć, iż losy Polski rozstrzygają się wyłącznie w Warszawie. Uważam się za zwolnionego od obowiązku czynienia komentarzy na ten temat, ponieważ dzieje Drugiej Wojny Światowej są wszystkim zgrubsza znane. Zwracam tylko uwagę, że to co piszę nie ma na celu ani pochwalania tego, w ostatnim zdaniu napomkniętego, stanu rzeczy, ani jego negacji. Chodzi mi tylko o zrozumienie faktów.

Mam nie tylko wrażenie ale nawet pewność, iż większość tragicznych i jakże kosztownych błędów popełnionych podczas ostatniej wojny nie z czego innego wynikła jak tylko z tejże nieszczęsnej maniery prowincjonalizmu w myśleniu. Tym razem sprawa jest o tyle gorsza, że pomyłek można było uniknąć. To można było osiągnąć, ale pod warunkiem zrozumienia rozmiarów toczącej się gry, tudzież zaangażowanych w niej interesów. Z tych przemyśleń wyniknąć by musiały wnioski dla naszej dumy narodowej wcale niemiłe. To mianowicie, że nie jesteśmy — niestety — „pępkiem świata", że nasze najżywotniejsze interesy na szali ogólnej ważą bardzo niewiele, że niektóre sprawy nam drogie i bliskie, jak rytm własnego serca — nikogo na szerokim świecie nie obchodzą. Wyciąganie takich wniosków nie jest — wbrew rozpowszechnionym u nas mniemaniom — odstępstwem od wymogów patriotyzmu. Całkiem odwrotnie — właśnie obowiązek patriotyczny nakazuje patrzeć prawdzie w oczy, bez względu na to, jaka ona jest. Bo polityka nie polega na określaniu, co mi się podoba a co nie, tylko na dawaniu sobie rady w każdym położeniu.

*) Instytut Wydawniczy „Poziom". Kraków 1948.

Jeżeli poprzednio pisałem, iż nareszcie zrozumieliśmy sam fakt owej współzależności to bynajmniej nie twierdzę, że zdajemy sobie sprawę ze zmiany skali dotyczących nas wydarzeń. Od dawna już odwykliśmy od szerokich horyzontów politycznych.

Dalekie perspektywy poszły w zapomnienie. Przyzwyczailiśmy się zato do sporów i konszachtów zgoła prowincjonalnych. Wydawało się nadzwyczajnym ewenementem, że Polak został premierem monarchii austro-węgierskiej, państwa całkiem drugorzędnego. Za czasów drugiej niepodległości wizyty rozmaitych egzotycznych dyplomatów dawały nam złudzenie, ale tylko złudzenie, naszego uczestnictwa w światowych interesach. Trzeba obiektywnie stwierdzić, iż w roku 1939 w naszych rękach znalazła się na moment sprawa nadzwyczajnej, europejskiej i światowej wagi. Tylko — zdaje się — prawie nikt u nas nie rozumiał i nie przewidywał jaki to pożar rozpali się od płomyka lontu, który nam na chwilę dano w garść. Powiedzieliśmy wtedy swoje ważkie słowo, że pójdziemy nie z Niemcami tylko przeciw nim. Ważne jeszcze było, żeśmy tę decyzję swoją wykonali, no a dalsze sprawy miały już znacznie mniejszy ciężar, (chociaż początkowo osądzaliśmy wszystko akurat na odwrót).

Ta w wielkim skrócie powyżej opowiedziana prowincjonalna praktyka polityczna przeszkadza nam w ocenie pewnego niespornego faktu. Chodzi mi o zrozumienie i zdanie sobie sprawy z tego, iż po raz pierwszy w dziejach naszych zdarzyło się, że stoimy twarzą w twarz wobec światowej problematyki politycznej. Tak to jest. Zagadnienia, które nas w tej chwili żywo obchodzą przyniosła nam ta sama fala właśnie, która w tej chwili przepływa przez Chiny, Indonezję, Palestynę, Indie, niepokoi Amerykę, wzdyma powierzchnię życia we wszystkich krajach i kontynentach.

Powstrzymuję się od wysnuwania stąd wielu szczegółowych wniosków, bo najbardziej mi zależy na jednym ogólnym. Tym mianowicie, że wymieniony powyżej fakt naszego związku ze światową problematyką polityczną musi być uwzględniany w każdym rozważaniu, dotyczącym naszego życia publicznego i naszych narodowych interesów. Niepodobna, jak mi się zdaje, ocenić słusznie żadnej ważnej sprawy jeśli zapomni się o szerokim nurcie dziejów współczesnych. Każda próba planowania naszej przyszłości zawiedzie, jeżeli autorzy tej próby nie odetną się od wszelkiej regionalnej a nawet europejskiej zaściankowości. Wielu katolików może jeszcze w inny sposób niż red. „Dziś i Jutro" wyobrażać sobie rozwiązanie współczesnych problemów politycznych, gospodarczych, socjalnych i kulturalnych. Ale bez żadnego jasnowidztwa można śmiało powiedzieć, że rozwiązanie realne musi mieć jedną cechę: musi być globalne.

Wśród prądów.

Dotychczasowe rozważania zawarte w tym artykule pozornie mogą być uznane za całkiem defetystyczne. Nie wiem, czy dokładnie cytuję słowa: „zważonyś i znalezionyś lekkim" — ale tak wygląda, że mogłyby one posłużyć za motto tego, co powyżej napisałem. Mówiłem przecie o wielkim pisarzu, dla którego nie było miejsca w ojczyźnie, potem przywodziłem na pamięć pomyłki i rozczarowania, a także naszą małość wobec problemów uznawanych na świecie za ważne i istotne. Tradycja chce, że tego rodzaju twierdzeń niechętnie się u nas słucha. Podobnie jak niewielu tylko wyznawców zyskała sobie maksyma pewnego wybitnego polskiego pisarza, który powiedział, że lekkomyślny optymizm jest rodzonym ojcem wszystkich naszych katastrof i nieszczęść.

Powyższa — nie wiem oczywiście czy udana — próba realistycznej oceny położenia potrzebna była nie po to by komukolwiek psuć krew. W obchodzącym nas wypadku wyjście to polegać musi nie tylko na rozbracie z nawykiem prowincjonalnego myślenia, lecz także na znalezieniu takich środków, które by sprawiły zwiększenie znaczenia naszego narodu na świecie.

Mam nadzieję, iż wcale znaczna liczba Polaków przestała już marzyć o tym, co dawniej wydawało się nieodłącznym atrybutem owego przodowania. To znaczy przestała myśleć o panowaniu nad kimkolwiek i o sławetnym trzymaniu kogokolwiek za mordę. Do tego optymistycznego wniosku skłania mnie m. in. ten fakt, iż już od dawna nie zdarzyło mi się słyszeć uczonych dysput na temat: czy Ukraińcy są narodem. Odwrócenie się od karykaturalnych i niesławnych form wyobrażeń o mocarstwowości jest rzeczą nad wszelki wyraz pożyteczną. O odwracaniu wstecz koła historii można tylko pięknie pisać, ale w praktyce dokonać tego niesposób. Czasy Władysława IV minęły i nie wrócą.

Trochę, ale tylko trochę inaczej rzecz się przedstawia jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze. W tej mierze mamy jeszcze bardzo wiele do zdziałania. Ale tempo odbudowy i rozbudowy gospodarczej współczesnej Polski jest wręcz imponujące. Przede wszystkim musimy jeszcze podnieść bardzo u nas niską stopę życiową. Czyli, po prostu, zrobić z Polski dobrze zagospodarowany i zasobny kraj. I dokonać tego możemy. Mało, ten proces już jest w toku.

Streszczam się. Wydaje mi się, iż oceniając właściwie nasze możliwości ekonomiczne, musimy jeszcze bardziej zwrócić uwagę na jedną dziedzinę, w której niezależnie od światowych proporcji gospodarczych możemy zrobić wielką karierę. Jest to dziedzina twórczości kulturalnej i cywilizacyjnej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Podkreślam, iż chodzi mi tu o twórczość nie zaś o konsumcję dóbr kulturalnych. Ta ostatnia bowiem jest rzeczą niesłychanie ważną, ale przede wszystkim dla nas samych. Na rynku zewnętrznym jednak zaważyć może tylko twórczy wysiłek umysłowy Polaków. W praktyce znaczy to, że polskie uniwersytety powinny kształcić naukowców i specjalistów, których osiągnięcia będą mogły zainteresować nie tylko nasz kraj. Myślicieli i praktyków zdolnych podołać intelektualnie nie samej tylko zaściankowej problematyce. Że dzieła naszych artystów powinny przemawiać nie tylko do ludzi posługujących się polskim językiem.

To wszystko wymaga, oczywiście warunków do swobodnej i wszechstronnej pracy umysłowej, utrzymania ścisłego związku ze światowymi prądami kulturalnymi, uczestnictwa w nieustannej międzynarodowej wymianie poglądów, zdobyczy i osiągnięć. Jest to samo przez się tak jasne i zrozumiałe, że wystarczy postulaty te wymienić. Ale warto — jak mi się zdaje — powiedzieć przy okazji i o tym, że owa niezbędna ekspansja kulturalna wymaga jeszcze jednej rzeczy — likwidacji zmory zaścianka. To już jest kwestia widnokręgów umysłowych, jakie sobie uczony, pisarz, działacz czy artysta zakreśla.

Od dłuższego już czasu zajmuję się pewną emocjonującą czynnością. Oto czytając rozmaite ukazujące się u nas po wojnie książki, zadaję sobie pytanie czy dana rzecz, przełożona z polskiego na język francuski, rosyjski, hiszpański, niemiecki, angielski, portugalski, nawet chiński i japoński będzie zrozumiała i interesująca. Odpowiedzi wypadają przeważnie, a może nawet w ogóle, wcale nie wesoło. A to jest właśnie sprawdzian. To dowodzi, że nad naszą rodzimą twórczością po dawnemu dominuje zaścianek. Nie chcę przez to powiedzieć, że polski pisarz i myśliciel winien koniecznie brać na warsztat swej pracy tematy nie polskie. Wcale tego nie twierdzę. Doświadczenie uczy, że można pisać o rzeczach najbardziej zaściankowych i prowincjonalnych — o zgrzebnym życiu rybaków alandzkich czy chłopów norweskich — i na książkę taką zwrócić uwagę świata. Rzecz w tym, by sam twórca nie miał parafiańskiej mentalności.

Przywędrowałem znowu do tematu, który poruszyłem na początku tego artykułu, to znaczy do literatury. Ale to nic nie szkodzi, a nawet pomaga. Bo na początku — przypominam — mowa była o konkrecie. Wymieniłem przykład takiego Polaka, który pozostawszy w ojczyźnie nie dokonał by pewnie niczego albo niewiele — ale raz znalazłszy się wśród światowych prądów stworzył dzieła o nieprzemijającej wartości i naprawdę powszechne. Jeżeli tego jednego przykładu państwu mało, to wspomnę o innym jeszcze. O wielkiej sławie uczonego profesora Bronisława Malinowskiego. Cała bieda w tym, że i Malinowski pozycję swą zdobył nie w Polsce i nie na polskiej katedrze pracując.

Te przykłady pozwalają sądzić, iż warto jednak by Polacy pomyśleli czasem o wpływaniu na światowe prądy. I że teza o możliwościach naszej ekspansji kulturalnej i cywilizacyjnej to nie jest megalomania narodowa.

Paweł Jesienica

Do P. T. Prenumeratorów i Czytelników

ADMINISTRACJA TYGODNIKA „DZIŚ I JUTRO" APELUJE DO WSZYSTKICH P. T. PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW, ABY PODJĘLI TRUD ROZPOWSZECHNIANIA NASZEGO PISMA.

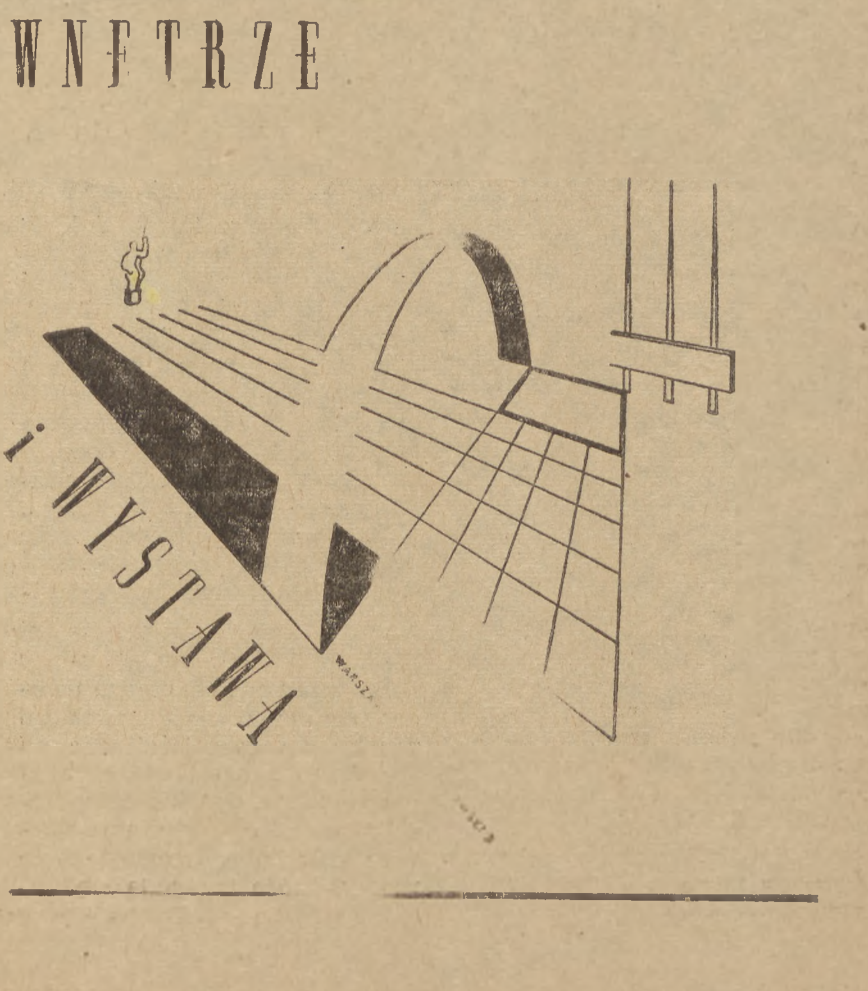
JEŻELI KAŻDY Z NASZYCH PRENUMERATORÓW ZJEDNA NOWYCH PIĘCIU, TYGODNIK NASZ UZYSKA STAŁĄ PODSTAWĘ FINANSOWĄ, JEŻELI ABONAMENT OPŁACANY BĘDZIE PUNKTUALNIE, TA PODSTAWA FINANSOWA OKAŻE SIĘ NAJBARDZIEJ SOLIDNĄ I NIEZAWODNĄ.

WÓWCZAS BĘDZIEMY MOGLI ROZBUDOWAĆ, ROZSZERZYĆ CAŁY SZEREG NASZYCH DZIAŁÓW, UROZMAICIĆ PISMO ILUSRACJAMI, NIE NADUŻYWAĆ IDEOWEJ, BEZINTERESOWNEJ POSTAWY AUTORÓW, ZAMIESZCZAJĄCYCH SWE ARTYKUŁY NA NASZYCH ŁAMACH, WYWIĄZYWAĆ SIĘ PUNKTUALNIE ZE SWYCH ZOBOWIĄZAŃ. SŁOWEM POZBYĆ SIĘ WSZYSTKICH TAK BARDZO UTRUDNIAJĄCYCH PRACĘ SPRAW, ZWIĄZANYCH Z CIĘŻKĄ SYTUACJĄ MATERIALNĄ NASZEGO PISMA.

CZYTELNICY! OD WAS ZALEŻY TO, JAKI POZIOM OSIĄGNIEMY W PRZYSZŁOŚCI. CZY BĘDZIE SIĘ ON PODNOSIŁ. NAJLEPSZA WOLA REDAKCJI I NAJWIĘKSZY WYSIŁEK NIE SĄ W STANIE PRZEZWYCIĘŻYĆ TRUDNOŚCI FINANSOWYCH.

PRENUMERATORZY, OPŁACAJCIE PUNKTUALNIE PRENUMERATĘ. CZYTELNICY, PRZESTAŃCIE BYĆ WYŁĄCZNIE TYLKO CZYTELNIKAMI, STAŃCIE SIĘ PRENUMERATORAMI.

ADMINISTRACJA „DZIŚ I JUTRO"



Ks. Michał Lubicz

DWIE WIELKIE I JASNE DROGI CZŁOWIEKA

Jesteśmy jeszcze pod wrażeniem Ewangelii o pierwszym cudzie Chrystusa w Kanie Galilejskiej.

Kończąc opowiadanie o fakcie przemiany wody w wino, apostoł Jan mówi: „Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej...„ Wielu chrześcijan, rozważając ten fakt, często zwraca uwagę nie tyle na samo cudowne zajście i ukryte pobudki Chrystusa, co raczej, na jedną z okoliczności czynu, że pierwszy przejaw publicznego wystąpienia i pierwszy cud Mistrza dokonany został na weselu, i że sama treść akcji Cudotwórcy była aż nazbyt prozaiczna: chodziło przecież... o wino dla bawiących się i podpitych gości weselnych...

To nas nieco zadziwia, a w każdym razie przyjmujemy to jako niespodziankę. Mimowoli ciśnie się do głowy: „Czy nie byłoby słuszniej i jakoś... jakoś... solidniej, gdyby Chrystus rozpoczął swoją działalność cudem uzdrowienia, wskrzeszenia, nakarmienia głodnych i temu podobnych czynów, wyraźnie pożytecznych dla cierpiących, albo upośledzonych ludzi. A tu — wesele, kilkudniowa zabawa, wino... I przy tym wszystkim — Jezus, Maria, Apostołowie..." Doprawdy, jesteśmy nieco zażenowani... Lecz przypominają się nam słowa Izajasza: „Myśli moje nie jako myśli wasze, ani drogi wasze, jako drogi Moje, mówi Pan", i już podświadomie zgadzamy się, że i w tym wypadku, że i ten pierwszy krok Jezusa był mądry, przemyślany i celowy. A więc i — życiowy. Pewne zaś nasze zdziwienie wobec bytności Jezusa w Kanie, a jeszcze więcej nasze niezrozumienie całej doniosłości Jego pierwszego cudu dowodzi, że to my — w większym lub mniejszym stopniu — utraciliśmy kontakt z życiem, a tym samym — i z Bogiem.

Boleśnie to dzisiaj odczuwamy. Piszemy o reformach. Pragniemy ich. Tylko nie wiemy, od czego mamy rozpocząć: od krytyki naszych obyczajów, czy też od przypomnienia sobie pozytywnych, a zapomnianych zasad Ewangelii. Krytyka często zaognia stosunki i dzieli: musimy raczej wzajemnie przypominać sobie podstawowe zasady dojrzałego życia chrześcijańskiego.

Otóż nam, chrześcijanom XX wieku, życie przypomina, że nie rozumiemy dokładnie, w pełni myśli Bożej co do dwu wielkich, zawsze aktualnych idei: świętości życia małżeńskiego i — pozwólcie tak się wyrazić — ludzkiej anielskości dziewictwa, t. j. tych dwu sposobów życia, które stanowią formę bycia członków Mistycznego Ciała Chrystusowego i korzeniami swymi tkwią w dwu światach — ludzkim i boskim.

Dzisiaj wielu z nas wydaje się, że idea małżeństwa i dziewictwa wzajemnie się wykluczają, że świętość może być skojarzona tylko, albo raczej z dziewictwem. Podzieliliśmy się na dwa obozy. Jedni uważają, że życie małżeńskie, tak czy owak świadczy o duchowej słabości człowieka, o ustępstwie ducha na korzyść zmysłów, że życie małżeńskie — w zasadzie — utrudnia dążenie do świętości, a w każdym razie — w znacznej mierze obniża charakter świętości samych małżonków.

Inni znowu, chociaż nie przeczą, że dziewictwo pierwszorzędnie sprzyja i służy rozwojowi chrześcijańskiej świętości, to jednak twierdzą, że zachowanie dziewictwa przynosi wielką i niepowetowaną krzywdę naturze ludzkiej, dusi bowiem w niej silny i żywotny instynkt ojcostwa i macierzyństwa, podłożem którego jest wrodzony popęd gatunkowy.

Skutki tych błędnych, niezgodnych z myślą Bożą poglądów na małżeństwo i dziewictwo, okazały się dla życia jednostek i społeczeństw chrześcijańskich nie tylko szkodliwe, lecz i fatalne.

Dzisiaj, gdy myśl katolicka pracuje nad przezwyciężeniem tych wiekowych błędów praktycznego życia chrześcijańskiego, spotykamy — w wielkich i małych rozprawach na te tematy — albo zdecydowane i mocne słowa potępienia tych niedorzeczności, albo znowu — tylko spokojny wykład nauki o małżeństwie i dziewictwie.

Oto łagodne i pogodne myśli o małżeństwie, wypowiedziane przez Papieża Piusa XII podczas audiencji: „Czar miłości ludzkiej przez wieki był tematem, który dawał natchnienie nauce, literaturze, muzyce i sztukom plastycznym; tematem. zawsze starym i zawsze nowym. Lecz do jakiej niewymownej piękności dochodzi ta miłość dwóch ludzkich serc, gdy z pieśnią nabożną zgadza się hymn dwóch dusz, w których tętni życie nadprzyrodzone!..." „Bóg powołał z nicości świat i ludzkość całą. Chrystus Pan w Kościele wprowadza do dusz życie nadprzyrodzone. Miłość zaś męża chrześcijańskiego do żony obejmuje te dwa Boskie działania, gdyż — z wyraźnej woli Stwórcy — mąż i żona przygotowują przybytek dla duszy, w której Duch Święty żyć będzie przez swą łaskę. Tak więc małżonkowie w wyrokach Opatrzności współpracują z Bogiem i Jego Chrystusem, a czynności ich małżeńskie mają w sobie coś boskiego" (23.X.1940 r.).

A oto w wydanej w Opolu (w 1946 roku) broszurze pt. „Małżeństwo także kapłaństwem", autor ks. Ludwik Orzeł z mocnym naciskiem oświadcza: „Małżeństwo w dobie obecnej narasta do problemu, nawet w łonie chrześcijaństwa. Dziś już sami wierzący stawiają poważne pytanie, gdzie się podziała radosna nowina, którą Chrystus przyniósł małżonkom i rodzinie... Okazuje się, że Chrystus powierzył swe dzieło odkupienia i uświęcenia świata nie tylko kapłaństwu ołtarza, lecz i kapłaństwu ogólnemu, a w nim głównie — kapłaństwu małżeństwa?

Tymczasem kapłaństwo małżonków, które w pierwotnym chrześcijaństwie tak wspaniale spełniało swe zadanie, z czasem poszło w zapomnienie. W ten sposób nieświadomie zniszczono samą istotę małżeństwa i między innymi tu głównie trzeba szukać przyczyny ześwietczenia wielu chrześcijan oraz związanej z nim tragedii dzisiejszej ludzkości... Dopiero Pius XI wydobył tę prawdę ze skarbca nauki Kościoła i przypomniał ją światu. Poznanie kapłaństwa chrześcijańskiego małżeństwa jest nakazem chwili. W tej dziedzinie pracują za granicą nie tylko wybitni teologowie, lecz i ludzie świeccy. Na tle prawdy o kapłaństwie chrześcijańskich małżonków rozbudowuje się dziś nauka pasterzowania..." Tyle ks. Orzeł...

Niestety, i nauka o świętości życia małżeńskiego, organicznie powiązana z kapłańskim powołaniem małżonków, po przez całe wieki też była zapomniana, i przez kierowników życia duchowego i przez ogół wiernych Kościoła.

Literatura ascetyczno - mistyczna uwzględniała tylko dążenie do doskonałości i świętości ludzi, żyjących w stanie dziewictwa.

Zrozumiała i sama w sobie godna pochwały teoria doprowadzenia do granic ostatecznych możliwości zerwania z życiem zmysłów, przestała być jedną ze szkół życia wewnętrznego i niepodzielnie zapanowała, jako konieczny warunek wyższego życia mistycznego, szczególnie w jego formie biernej.

Wytworzenie właściwej — teoretycznej i praktycznej — syntezy życia zmysłowego i naprzyrodzonego, osobnej dla stanów małżeńskiego i dziewiczego, wydawało się rzeczą niepotrzebną, ponieważ ogólna opinia głosiła, że małżeństwo, chociaż i nie zamyka drzwi do nieba, nie sprzyja jednak wytworzeniu wysokich form życia duchowego i pełnego oddania się Bogu.

I nic dziwnego: chrześcijaństwo bez nauki o organicznej przynależności do Mistycznego Ciała Chrystusowego i o możliwości miłowania stworzeń w Bogu, kiedy to już nie sam tylko człowiek, lecz i Chrystus w nas miłuje stworzenia i współżyje z nimi, nie pozwala na ułożenie i rozrost życia duchowego w całej pełni objawienia Nowego Testamentu.

Bez tej pełni zawisamy niejako w powietrzu między „Bóg z nami" Starego Testamentu, a między „Bóg w nas" Nowego Testamentu. Skoro zaś przez łaskę przebywamy w stanie organicznej jedności z Bogiem i mimo wszystko, możemy odnosić do siebie słowa Ap. Pawła: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus. A o ile teraz żyję w ciele, to żyję w wierze Syna Bożego" (Gal. 2,20), wtedy żaden nasz stan życiowy, ani małżeński, ani dziewiczy, nie tworzy już najmniejszej przeszkody, aby ten sam przecież Chrystus (Kolos. 1,27) wzrastał w nas, a nasz „stary człowiek", człowiek grzechu pierworodnego, malał, według myśli św. Jana Chrzciciela": On ma wzrastać — ja zaś umniejszać się". (Jan 3,30).

Pan Jezus przyszedł nie po to, by poprawiać twórcze plany i osiągnięcia Swego Ojca Niebieskiego, lecz po to, by wszystkiemu, co stanowi czysto życiowe i naturalne zjawisko, dopomóc w udoskonaleniu i oświeceniu.

Małżeństwo i dziewictwo — to dla człowieka stany naturalne i życiowe. Jedno bowiem — z natury swej — bardziej ciąży ku świętej cielesności, a drugie — także z natury swej — ciąży bardziej ku świętej duchowości, lecz jedno i drugie doskonale nadaje się do realizacji planów Bożych na ziemi, dla przebóstwienia ludzi, jako dzieci Bożych, których rozwój i szczęście organicznie związane jest— przez łaskę, z wolą Bożą — z życiem samego Boga.

Doprawdy, dziwne, jakby przytępione albo przemądrzałe trzeba mieć pojęcie o Bogu, by spokojnie twierdzić, że radosna Ewangelia Chrystusa nie zamierza głosić małżonkom pełni ewengelicznej doskonałości; że do nich, małżonków, nie odnosi się wyraźne przekonanie i modlitwa Ap. Pawła, wyrażone w jego życzeniu dla Efezjan, by i oni „umocnieni i ugruntowani w miłości, wraz ze wszystkimi świętymi pojąć mogli, jako ona (miłość) jest rozległa i dalcka, wzniosła i głęboka", by „też mogli poznać jak miłość Chrystusa przewyższa wszelką wiedzę i (w ten sposób) byli napełnieni całą pełnością Bożą. (Efez. 3,18. 19.)...

Ilu ludzi — często nawet z najbardziej zmaterializowanych i najdalej posuniętych egoistów — darzy wielkim uznaniem i podziwem dziewicze dusze, jednej i drugiej płci, widząc, ile wzniosłych i szlachetnych strun drga w nich, ile iście anielskich cech wnoszą one w życie społeczne Idąc bowiem za natchnieniem łaski, „sami się skazali", jak powiedział Chrystus, „dla Królestwa niebieskiego" na ofiary życia dziewiczego i na to, by do wieńca wartości nadprzyrodzonych, które wytwarzają przeróżne grupy członków Mistycznego Ciała, wplecione zostały kwiaty dziewiczej czystości i subtelności..

Skądże tedy płynie u chrześcijan niewłaściwe pojmowanie i pewna wrogość albo po prostu brak zrozumienia i sympatii do jednego lub drugiego stanu?

Wynika to z niewłaściwego pojmowania istoty życia nadprzyrodzonego; z braku uświadomienia, w jakie formy może ono — według myśli Bożej — oblekać się, w jaki sposób zrealizuje się, na koniec, z braku konsekwentnego przejęcia się prawdą, że człowiek nie jest ani tylko duchem, ani tylko zwierzęciem, lecz połączeniem obu.

Stąd, już przez samo tylko logiczne rozumowanie, dochodzimy do wniosku, że muszą istnieć dwie podstawowe formy świętości — małżeńska i dziewicza, dokoła których koncentrują się wszelkie inne formy świętości, zależnie od osobistych skłoności, powołania, zwyczaju itp.

Gdy chodzi o formę świętości małżeńskiej, chrześcijanin realizuje swe powołanie, swą służbę Bogu i społeczeństwu w oparciu o duchowe i fizyczne pierwiastki swej natury, czyniąc z nich warunek i atmosferę swego zjednoczenia z Bogiem. W życiu małżonków, przebywających w stanie łaski, nie tylko akty nadprzyrodzone i duchowe, lecz i akty małżeńskie sprowadzają i pomnażają, jako akty zasługujące, łaskę uczynkową i uświęcającą, t. j. powodują wzrastanie świętości.

Dopiero to pozwala katolikowi zrozumieć i przejąć się zasadą, że życie małżeńskie jest życiem sakramentalnym, i jako takie bywa powodowane, wywoływane przez łaskę, t. j. przez działanie Ducha Świętego.

Takie ujęcie istoty życia małżeńskiego i włączenie go w łańcuch wielu innych zasługujących aktów — czysto nadprzyrodzonych, duchowych i fizycznych — pozwala i zmusza zgodzić się z rozumowaniem wspomnianego wyżej ks. Orła, który pisze, że pożycie małżeńskie jest to akt kapłański. „W taki sposób — mówi on — rośnie w obojgu miłość Chrystusowa i jedność małżeńska. Miłość Chrystusowa przyjmuje w małżonkach coraz rzeczywistsze kształty i pozwala obojgu przetrwać w zgodzie i miłości wzajemnej. Ta miłość idzie poza grób na żywot wieczny..." „Na te sprawy — pisze ks. Orzeł nieco dalej — trzeba patrzeć całkiem naturalnie i całkiem nadnaturalnie. Tu jest pełna wymiana życia; wymiana, która dokonywa się w organiźmie Kościoła, przy czym małżonek jest reprezentantem Chrystusa, jako głowy Kościoła, a żona przedstawia oblubienicę Chrystusową — Kościół św., a nie jest to tylko jakiś zewnętrzny obraz, jakiś symbol, ale całkiem rzeczywisty obraz, tkwiący życiem swym w życiu Kościoła. Chrystus i mężczyzna powierzają wtedy życie nowego człowieka niewieście — Kościołowi, celem jego uformowania. Matka i dzieci są kościołem męża, a zarazem kościółkiem (ecclesiola) Chrystusa, kościółkiem wrośniętym w wielki Kościół Chrystusowy" (wspomniane dziełko, str. 29 i 30).

Czy ks. L. Orzeł nie oparł swego rozumowania na nauce Pisma Świętego? Czy nie powtarza i nie rozwija on wielkich myśli Ap. Pawła?

Między innymi pisze Apostoł do Efezów: „Bądźcie ulegli jedni drugim w bojaźni Chrystusowej. Niewiasty niech będą uległe mężom swym, jako Panu, bo mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła, ciała Swojego, którego jest Zbawicielem. Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował i wydał zań Samego Siebie, aby go uświęcić obmyciem wodą w słowie żywota. I zgotował Sobie Kościół pełen chwały, nieskalany i bez zmazy, bez czegokolwiek, coby mu ujmę przynosiło, ale święty i niepokalany. Tak mężowie mają miłować swe żony, jak własne swe ciała. Kto miłuje żonę swoją, siebie samego miłuje. Nikt bowiem jeszcze nie miał w nienawiści ciała swego, ale je żywi i pielęgnuje, jak i Chrystus Kościół. Bo jesteśmy członkami ciała Jego, z ciała i z kości Jego. Dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka jest, a ja mówię — w Chrystusie i w Kościele" (Efez. 5,21 — 32)...

Podkreślam jeszcze raz, że życie i świętość małżeńska opierają się — z woli samego Boga, oraz specjalnego błogosławieństwa Kościoła — na wydatnie rozbudowanych pierwiastkach duchowych i fizycznych, świadomie używanych i pielęgnowanych.

Jeżeli zaś chodzi o życie i świętość dziewiczą, tu trzeba mocno zaznaczyć, że jest to całkiem coś innego, nowego, na pierwszy rzut oka niezgodnego z naturą ludzką. Świadome chrześcijańskie dziewictwo w pewnym sensie stanowi nie tyle życie ludzkie, co, raczej, anielskie, t. j. życie bezcielesne duchów. (Człowiek prawdziwie dziewiczy stara się jak najbardziej ograniczyć swoją cielesność i zwierzęcość (w dobrym tego słowa znaczeniu!). Stara się trzymać swe życie zmysłowe na krótkiej smyczy, pozwalając na konieczne tylko akty. Unika wszystkiego, co prowadzi do zbytecznych przywiązań do stworzeń Nie unika stworzeń, jako stworzeń Bożych — kocha je w Bogu i dla Boga, lecz obawia się i unika wszystkiego, co wywołuje i podsyca czysto zmysłową przyjaźń i miłość.

Lecz są cnoty, i to liczne. a może i prawie wszystkie istniejące, które stanowią wspólną treść życia chrześcijan — małżonków i chrześcijan - dziewic.

Jeżeli zaś od wielu, wielu wieków wynosiło się na ołtarze prawie wyłącznie zakonników i zakonnice, dowodzi to bardzo smutnego stanu rzeczy: a) utarło się fatalne przekonanie, iż heroiczną świętość napotkać można prawie zawsze tylko w klasztorach, nie zaś w rodzinach; b) oraz, że utraciliśmy ongiś sprawnie funkcjonującą zdolność dostrzegania świętości wszędzie tam, gdzie — z natury rzeczy — może być ona pielęgnowana

I jedno i drugie fatalnie zamykało oczy na heroiczne cnoty ojcostwa, a szczególniej, macierzyństwa; osłabiało ducha cnoty i heroizmu w wielu rodzinach, ponieważ małżonkowie uwierzyli, że prowadzą życie przyziemne i mało sprzyjające świętości; pozbawiło Kościół tysięcy świętych, godnych wyniesienia na ołtarze, właśnie z tytułu swego ojcostwa lub macierzyństwa; sprawiło, że w XX wieku nasze mszały i brewiarze nie mają Komunału Świętych - małżonków i ojców, Świętych - małżonek i matek (dzisiaj uwaga ta wyda nam się śmieszną i niedorzeczną!); spowodowało, jak słusznie mówi ks. Orzeł, zniszczenie samej istoty małżeństwa w bardzo wielu rodzinach, doprowadziło do niemniej fatalnego ześwietczenia, trwającego już całe wieki.

Chwała Bogu, że od wielu już lat, nie tylko wybitni teologowie i duszpasterze, lecz i świeccy ludzie, uważnie i umiejętnie obserwujący bieżące życie i przeróżne jego jednostkowe, społeczne, polityczne i religijne, doktrynalne i praktyczne powikłania, przystąpili do gruntownego odrabiania zaniedbań dawnych pokoleń.

Z POEZJI
ANDRZEJA WIRTHA

PRZEMIANY

Ulica cię poniesie i nagle
na zakręcie staniesz przypomnienia.
Niebo. Na niebie obłok.
Pod obłokiem toczy się ziemia.

Zapatrzony w siebie jak woda,
wychylony z siebie samego,
nie wrócisz przeszłemi krokami,
nie przypomnisz wczorajszego śniegu.

Umiera biel w twoim oku.
Czerwień. I nie ma czerwieni.
Wieczór zwyciężony nocą
ciągle w innego cię zmienia.

Górą prześcigają się pory.
Tak z jednej gałęzi drzewa
deszczem kwiaty. A jutro
owoce będą dojrzewać.

Oto czas się obrócił znowu
na osi swej wiotkiej bardzo.
A mówiłaś: na całe życie.
A mówiłaś: już nigdy tak bardzo...

Na stromej cięciwie chwili
ważycie się jak od niechcenia,
o baletnice przemiany,
smutne siostry światła i cienia.

EPITAFIUM

Mówię: niebo i myślę: niebo,
a niebo znaczy że trzeba
uklęknąć, bo może chmurami
płyną twoi umarli.

Mówię: ręce, kobiece ręce,
a ręce znaczą tkliwość —
niewiększy był od monety
jasny ułamek metalu
co młodego zmienił w ideę,
a kładły się na nim w halach
fabrycznych ręce kobiety.

Mówię: uśmiech i myślę: radość,
a to znaczy w mym kraju
rzecz inną — na sznurze się śmieli,
którzy dziś nikim są nigdzie
i dziewczyna z uśmiechem nie przyjdzie.

Mądrzejszy od swego dziada
o niebo, ręce i uśmiech,
o sto nowych znaczeń słowa śmierć,
wiem: nie od bogów
jak Epikur przed wiekiem —
POEZJO ŻELAZNEGO CZASU,
CZŁOWIEKA BROŃ PRZED CZŁOWIEKIEM.

NA FALI SYGNAŁÓW

Koła wyprowadzą śpiew szklany
— każde koło jest z porcelany —
horyzonty jak skrzypce
wzbiorą białą muzyką lipca.

Nad rzekami które upływają
w odjazdy i pożegnania
brzegi brzegom podadzą ręce
ludzkim sensem rozstania.

Na fali dalekich sygnałów
niesiony w niewidzianą stronę
po to tylko odjeżdżam
by zostawiać za sobą perony.

Tyloma przebrzmiałem mostami —
na każdej śni mi się stacji
miedziane ciało Klio
w srebrnym śpiewie akacyj.

Dwie wielkie i jasne drogi człowieka

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Dzięki gorliwej akcji pisarskiej tych ludzi, już coraz dokładniej i bez obawy pobłądzenia odróżniamy dzisiaj, co w dziełach naszych słynnych ascetów i mistyków odnosi się specjalnie do życia zakonnego, a co specjalnie do życia świeckich katolików; co stanowi wieczne zasady życia wewnętrznego, a co tylko reguły okolicznościowe i przemijające; co jest charakterystyczne i do przyjęcia tylko przez pewne szkoły życia wewnętrznego, a co znowu stanowi konieczną nadbudowę nad tymi szkołami; co stanowi, jak wyraża się ks. Żychliński, same mury budynków życia wewnętrznego, a co — zawsze niezbędny dach; co stanowi zasadę, zawsze zgodną z duchem cnoty roztropności, a co — po prostu przesadę i zbyteczną dziś surowość, nawianą przez zbytnio gorliwy ascetyzm, który utracił kontakt ze zdrową mistyką życia codziennego.

Wnikamy w to nie dlatego, by kogoś krytykować albo ośmieszać, to, co wytworzyły umysły i serca naszych czcigodnych przodków.

My pragniemy tylko poważnie robić to, co i oni robili: szukać coraz bardziej pełnego i doskonałego ujęcia zasad życia z Bogiem, szukać coraz bardziej ogólnej i prostej syntezy dla praktycznego życia chrześcijańskiego. I dlatego współczujemy im, że oni, mimo, całej gorliwości i świętości, chodzili nieraz po omacku i dochodzili do celu, po drogach okrężnych i stromych.

Ileż to, na przykład, trudności myślowych i praktycznych sprawiało im zagadnienie pogodzenia miłości Boga i stworzeń, zjednoczenia z Bogiem i oderwania od stworzeń.

Zdawało się im, że rozrost miłości Boga zawsze powoduje zanikanie miłości osób bliskich i bezwzględne oderwanie od stworzeń w ogóle. Lecz oto dzisiejsza literatura ascetyczno-mistyczna przypomina nam wiecznie zdrowe zasady, znane i w dawnych wiekach, lecz zapomniane w praktyce życia. Święty Franciszek Salezy, pierwszorzędny znawca zasad życia wewnętrznego i autor nieśmiertelnego „Traktatu o miłości Bożej", znakomicie przedstawił zasadę pogodzenia oderwania od stworzeń i jednoczesnego serdecznego ich umiłowania. By zrozumieć tę zasadę i doskonale się nią przejąć, musi człowiek przeżyć pewien proces psychiczny. Wtedy czysto egoistyczna, przyziemna, zwierzęca miłość całkowicie się przeradza, przy czym jej czysto ludzka strona nic na tym nie traci, przeciwnie, zyskuje na intensywności i szlachetności uczucia.

Wtedy, czy to w małżeństwie, czy w dziewictwie — nasz stosunek do wszyskiego staje się samą miłością, małą czy wielką, lecz miłością. Wtedy dusza nasza potrzebuje — organicznie, świadomie — Boga i stworzeń, by tak, jak Bóg, promienie swej miłości kierować na cały świat, zachowując przy tym nie sztuczną, nie wymuszoną, nie narzuconą, lecz całkiem naturalną hierarchię objektów miłości: Bóg, ja, stworzenia — w Chrystusie.

Wtedy, na koniec, dwie wielkie i jasne drogi małżeństwa i dziewictwa zlewają się w jedną: wszyscy bowiem razem coraz bardziej wchodzimy w Chrystusa, a przez Niego — w Boga... I tu już właściwie i w pełni rozumiemy mądrego Apostoła, który pisał do Galatów: „Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika, ani wolnego, nie masz mężczyzny, ani niewiasty. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście — w Chrystusie Jezusie"...

Ks. Michał Lubicz

Andrzej Micewski

O właściwą publicystykę wychowawczą

TRZY są podstawowe kierunki pracy publicystycznej. Pierwszy, to publicystyka koncepcyjna, samodzielny wysiłek oryginalnego koncepcjonowania w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy czy życia. Tworzenie nowych konstrukcji myślowych, w oparciu o przyjmowane aksjomaty światopoglądowe czy naukowe konfrontowane z istniejącą rzeczywistością lub przypuszczalną czy pożądaną przyszłością.

Rzucanie symbolów celu dla jednostek czy zbiorowości — idei, oraz wytyczanie dróg, środków do realizacji danej idei stosownych.

Drugi kierunek to publicystyka popularyzatorska. Rozpowszechnianie wyznawanych prawd. Ich interpretacja. Konstruowanie właściwej formy wyrażania prawd w zależności od potrzeb i możliwości chłonnych konsumenta. Naświetlanie pewnych aspektów problematyki szczególnie istotnych czy przemawiających do określonego psychologicznie i socjalnie odbiorcy.

Upowszechnienie indywidualnych osiągnięć myślowych.

Trzeci wreszcie kierunek to publicystyka wychowawcza. Wychodzi ona przede wszystkim z obserwacji istniejącej rzeczywistości. Bada konstrukcje psychiczne ludzi, analizuje ich styl życia indywidualnego i społecznego, kontroluje istniejące tendencje, bada obyczajowość. I otrzymane stąd wyniki konfrontuje z idealnym wzorcem człowieka czy aprobowaną wizją stosunków publicznych.

Konfrontuje z wyznawanym systemem eksplikatywnym i wypływającym z niego konsekwentnie zespołem norm postępowania. Z tej konfrontacji wypływa ocena, a w dalszym następstwie tendencja przemiany, dociągania istniejących stanów psychicznych czy rzeczywistości do ideału określonego minimalistycznie przez normy postępowania, czy do idealnych wizji układu stosunków. Argumentacja konieczności zmiany, poprawy, postępu w zwyż.

Oczywiście trzeba zdawać sobie sprawę, że podział powyższy jest niezupełny, ma charakter ramowy i jest względny, jak każdy inny podział uzależniony od aktualnie przyjmowanych kryteriów.

Po tej uwadze można stwierdzić, że nie będziemy dalej kontynuować rozważań nad teorią pracy publicystycznej, nie to bowiem jest naszym celem. Chcemy tutaj jedynie, bardzo ramowo, zwrócić uwagę na olbrzymie znaczenie trzeciego z wymienionych rodzajów publicystyki, na publicystykę wychowawczą. Jest ona zwykle mało szanowana. Panuje uznanie dla publicystyki koncepcyjnej. Już samą publicystykę popularyzatorską traktuje się lekceważąco. Jeśli chodzi o wychowawcze wypowiedzi publicystyczne, to jakże często spotykają się one z pobłażliwie-sceptycznym określeniem — moralizatorstwo.

Psychologicznie jest to uzasadnione z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego; że wytykanie kompromitującej prawdy nie należy do przyjemności dla osoby czy zespołu, na który chcemy wychowawczo oddziałać. To takie ludzkie i proste, że człowiek lubi słuchać o swych wzlotach, a nie upadkach, o osiągnięciach i zdobyczach a nie o kapitulacji i oportunistycznej łatwiźnie. Dlatego odrzuca najczęściej publicystykę, która jest dla niego wyrzutem i napomnieniem, która żąda natychmiastowego konsekwentnego wysiłku, postępu i pracy. Po drugie dlatego, że publicystyka wychowawcza jest zbyt często istotnie słaba, że przykłada się do niej zbyt małą wagę. Popularne określenie: „tanie moralizatorstwo", tanie, bo mimo słuszności frazeologiczne, nieliczące się z mentalnością i sytuacją ludzi, do których jest kierowane, ma tu zbyt często swoje zastosowanie.

Ten stan trzeba radykalnie zmienić. Musimy się zdobyć na właściwą, nową, dynamiczną publicystykę wychowawczą. I nie wolno nam sugerować się snobizmem publicystyki koncepcyjnej, jako jedynie twórczej, bo właśnie i przede wszystkim publicystyka wychowawcza musi być twórcza. Twórcza przez głęboką zawsze nową, uwzględniającą zmiany zjawisk, ocenę. Przez zawsze nowe, oryginalne, dostosowane do psychiki jednostki i społecznie adekwatne wytyczanie środków i dróg przemian wychowawczych. Przez finezje i takt w formułowaniu osądów, życiowość podawanych sposobów rozwiązywania konfliktów, a nawet przez frapującą formę zewnętrzną w wypowiedziach.

Publicystykę te przede wszystkim powinna cechować życzliwość i zrozumienie dla ludzi, na których chce oddziaływać.

Takiej publicystyki wychowawczej nam trzeba, głębokiej, opartej na rzetelnej analizie, psychologicznej i socjologicznej. I dla takiej będziemy mogli uzyskać szacunek jej odbiorców, a co za tym idzie większą jej chłonność i skuteczność.

A trzeba pamiętać, że w epoce niesłychanej dysproporcji między postępem techniki i etyki, dysproporcji stanowiącej przyczynę i istotę konfliktów i tragicznych załamań współczesnego świata, wszystko to, co zmierza do wychowania człowieka, nabiera szczególnego znaczenia.

A. Micewski

Jan Dobraczyński

Literatura katolicka w szufladce

Na zjeździe w Szczecinie usłyszeli obecni po raz trzeci referat Stefana Żółkiewskiego na temat współczesnej literatury polskiej. Różnił się on jednak zasadniczo od obu poprzednich — wygłoszonych w Łodzi i we Wrocławiu.

Żółkiewski sprzed dwóch lat i z zeszłego roku był prawdziwym „lwem ryczącym". Jego przemówienia cechowała pasja, namiętność, chęć przekonania przeciwników o swej racji. Głos prezesa oddziału warszawskiego ZZLP huczał. W Łodzi usiłował zwalczać — św. Augustyna, we Wrocławiu — humanizm katolicki. To była walka ze światopoglądem, walka gorąca, żywa, pełna wyrazu. W nas, katolikach, budziła, w gruncie rzeczy, życzliwość. Osobiście przynajmniej lubię przeciwników pełnych szczerej wiary w swoje stanowisko i w wyznawaną przez siebie ideę.

Inaczej było w Szczecinie. Tutaj lew nałożył tłumik. Przemawiał do nas nie pełen ognia publicysta, ale chłodny profesor. Referat Żółkiewskiego pełen był schematów, formułek i cenzurek. Mało który pisarz ocalił się przed krytyką. Dowiedzieliśmy się, że Andrzejewski „tylko czasami wyzwala się od naturalizmu", że u Nałkowskiej i u Boguszewskiej mamy wyraźny „agnostycyzm", że u Iwaszkiewicza panuje „klimat estetyzmu", że Adolf Rudnicki „nie lubi prostoty, uczuć prostych, powszechnych, ma niejasny osąd o świecie; jego twórczość wypowiada niepokojący antyestetyzm". Odczytując przez godzinę takie cenzurki Żółkiewski nie był na pewno w zgodzie z postawioną na początku swego referatu tezą: „najprzód pisarz — krytyk może przyjść potem".

Nie chodzi mi jednak o to. Przy całym swym chłodnym, profesorskim stanowisku Żółkiewski okazał się człowiekiem monolitowej idei. Jego wszystkie „niedostateczne", które wystawił, są uzasadnione tezą „socjalistycznego realizmu", jako jedyną, dopuszczalną formę współczesnej literatury. Wprawdzie Żółkiewski powiedział także, że obok tego nurtu są i inne nurty, z którymi należy sobie „życzyć ideowej polemiki". Nie wydaje mi się jednak, aby to życzenie próbował zrealizować.

Nie jest bowiem dla Żółkiewskiego niewątpliwie niespodzianką, że w Polsce istnieje literatura katolicka. Oczywiście — chcę tutaj podkreślić, co już powiedziałem w Szczecinie: poza literaturą o problematyce katolickiej, pojęcie literatury katolickiej jest czymś bardzo umownym. My, katolicy, uważamy za literaturę katolicką wszystko — co nie jest niekatolickie, co wyrasta z etyki i moralności. W tym sensie katolickimi są powieści Szelburg Zarembiny, opowieści Rudnickiego. Żółkiewski — będąc autorem powiedzenia: „najcięższym grzechem pisarza jest brak pasji politycznej" — postawił sprawę inaczej. Dla niego pisarzem katolickim jest pisarz z kręgu „Tygodnika Powszechnego", czy „Dziś i Jutro".

Tak pojęta literatura katolicka została wsadzona do jednej szufladki i opatrzona ostrzegawczymi etykietkami. Ma to więc być literatura: „fideistyczna, agnostycystyczna, nienaukowa („nigdy nie było większej przepaści między wiarą a wiedzą"!) polityczna". Wyrażają ją — dla przykładu: Zawieyski, który „pisze jak Nałkowska" (psychologizm!), Żukrowski — arcynaturalizm, Dobraczyński — „Dołęga Mostowicz na sentymentalno" (do dziś nie wiem czy to miała być pochwała czy nagana!)...

Osobiście, usłyszawszy taką diagnozę, poczułem się zaniepokojony. Ostatecznie nie chodzi o tego Dołęgę-Mostowicza. Każdy z nas trzech wymienionych i wszyscy razem możemy być złymi przedstawicielami literatury w ogóle, a literatury katolickiej w szczególności. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że w nas trzech została oceniona cała literatura katolicka w Polsce. Zarzuty „fideizmu" i „agnostycyzmu" są — delikatnie mówiąc — bzdurą. Oba terminy wzajemnie się wykluczają. Poza tym oba terminy są w stosunku do katolicyzmu herezjami. Czym jest w katolicyźmie fideizm może się Żółkiewski dowiedzieć ze znakomitej książki O. J. Woronieckiego „U podstaw kultury katolickiej". Aby umożliwić mu poznanie heretyckości agnostycyzmu muszę go wysłać do źródeł dalszych — do Ojców Kościoła. Agnostycyzm został przezwyciężony już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, fideizm dopiero na przełomie 19 i 20 wieku. Fideizm był właściwością epoki, gdy istniała naprawdę — wprawdzie pozorna — rozbieżność między wiarą a wiedzą. Dziś jej nie ma. Dziś nauka nawet nie próbuje zaprzeczać istnieniu Boga — choć Go oczywiście nie tłumaczy, gdyż jest tylko nauką. Żółkiewski próbował się potem wykręcić poglądami zaczerpniętymi od J. Hempla i H. Cunowa o istnieniu nauki o religii. To było bardzo efektownie powiedziane, ale za tym kryła się pustka. Religia ma swoją podbudowę w psychologii człowieka i tego nikt nawet w katolicyźmie nie próbuje zwalczać. Religijność jest uczuciem naturalnym (choć na pewno nie „reliktem uczucia"—jak tego dowodził min. Sokorski). Każda religia jest wyrazem tęsknoty człowieka do Boga.

Wydaje mi się, że zarzuty fideizmu, agnostycyzmu, nienaukowości były tylko próbą zawoalowania właściwego zarzutu, jakim jest według Żółkiewskiego — polityczność. Ten już tylko zarzut podtrzymali i inni mówcy.

Nie mam zamiaru twierdzić, że w Polsce katolicyzm nie ma także swego wyrazu politycznego. Katolicyzm jest ideą, światopoglądem i religią. Jest stylem życia stylem myślenia. Ale, jak to już nieraz pisałem, sytuacja sprawiła, że do katolicyzmu przychodzą dziś — i to tłumnie — ludzie, którzy chcą w nim znaleźć oparcie polityczne. To, że przychodzą i to tłumnie — to jest „wielką szansą" Kościoła. Zwycięstwem będzie jednak dopiero wówczas, gdy przychodzący — ci „katechumeni" — zrozumieją, że katolicyzm nie mierzy się wymiarami politycznymi. Zła polityka mogła już tysiąc razy w dziejach świata zgubić Kościół, a jednak go nigdy nie zgubiła. Jako siła polityczna katolicyzm może zawieść tych, którzy się na nim opierają. Nie zawodzi nigdy jako siła moralna. Są pisarze, którzy poczynają krzyczeć: katolicyzm — to liberalizm (rzecz jasna w pojęciu filozoficznym, a nie ekonomiczno - społecznym). Jest to taki sam fragment wiedzy o katolicyźmie, jak fragmentem tej wiedzy był krzyk zgorszonych burżujów, nazywających Leona XII „socjalistycznym papieżem".

To samo odnosi się do literatury katolickiej. Katolicy mogli reprezentować w rozmaitych czasach rozmaite kierunki. Byli klasykami i byli romantykami, pozytywistami i neoromantykami. Nawet ta dekadencja impresjonizmu i psychologizmu, jaką zdaje się być egzystencjalizm, ma swego katolickiego przedstawiciela — G. Marcel. U nas, w Polsce, dyskusje, które się toczyły po wojnie doprowadziły do stwierdzenia, że współczesna literatura katolicka jest literaturą realizmu. Gdybym miał ten termin ująć w pewne określenia, musiałbym powiedzieć: jesteśmy realistami, ponieważ chcemy przedstawić człowieka, takim jakim jest, w swych przeżyciach zewnętrznych i wewnętrznych; pojmujemy, że człowiek żyje na ziemi — więc nie chcemy go robić aniołem, znamy jednak nieogarniętą moc łaski, tej łaski, która jest nie dającym się wykluczyć — ba, decydującym nawet — elementem budowy świata. Los człowieka ma swój wyraz tragiczny zawsze, gdy linia dążeń człowieka odchyla się od prostej woli Bożej. Ta prosta istnieje — Bóg kieruje światem. Ale droga ku Niemu wiedzie poprzez człowieka. Miłość musi mieć zawsze swój wyraz społeczny. Świat zewnętrzny, świat zjawisk obiektywnych istnieje. Twórca czy bohater nie może go zasłonić sobą. Ale dramat człowieka jest dramatem przełamywania się mniejszych lub większych odcinków historii w duszy ludzkiej.

Tak pojmujemy, ściślej — tak ja pojmuję nasz realizm. Jeżeli chodzi o zestawienie go z „realizmem socjalistycznym" wedle tego co o nim mówił Żółkiewski, to wydaje mi się, że jest w obu tych kierunkach dużo podobieństwa. Oba nurty są nurtami realizmu, prawdy obiektywnej, oba podbudowane są ideologią.

Podkreślam tę pachnącą truizmem prawdę, ponieważ wypowiedzi Żółkiewskiego i innych dyskutantów zdawały się o niej zapominać. Wynikało z nich, że pisarz katolicki może „przezwyciężyć swoją postawę filozoficzną i światopoglądową" i nie przestając być pisarzem katolickim, stać się pisarzem „realizmu socjalistycznego". Może to i ładnie brzmi, może to i wypowiada tę tak zachwalaną przez Polewkę „socjalistyczną tolerancję" — ale w danym wypadku to jest naprawdę nieporozumieniem.

Bo wrócę do zarzutu, że katolicyzm w Polsce, że literatura katolicka jest jedynie wyrazem postawy politycznej. Tego rodzaju zarzut może być stwierdzeniem prawdy i — postulowaniem prawdy. Osobiście gotów jestem jeszcze raz przyznać że jest on stwierdzeniem pewnego istniejącego zjawiska. Wśród mas „katechumenów" katolickich istnieje tendencja sprowadzenia katolicyzmu do wymiarów politycznej grupy. Z tą tendencją katolicyzm walczy i będzie ją nadal przewalczać.

Obawiam się jednak, że przyjmując poboczną tendencję za kierunek główny, Żółkiewski, świadomie, czy nieświadomie, chciałby jednak wepchnąć katolicyzm w przewidzianą dla niego szufladkę. Jeśli jest za mała — od czegóż metody Prokrustał? W zarzucie Żółkiewskiego czuje się jakby wolę sprowadzenia katolicyzmu do wymiarów politycznych.

I tutaj należało by się tego rodzaju próbom mocno przeciwstawić.

Katolicyzm nie jest marksizmem. Istnieją obok siebie dwa nurty ideowe i ich odbicia w literaturze, których odmienność należy uważać za zaletę. Nie ma nic gorszego jak „idea zrealizowana doskonale". W literaturze istnienie literatury katolickiej stanowi bodziec dla literatury marksistowskiej — i odwrotnie. Nie ma nic gorszego w twórczości artystycznej jak łatwość powstawania dzieła — jak łatwość krystalizowania postaci. Każdy z nas musi o coś w sobie walczyć — a czym ciężej walczy, tym prędzej dobije się czegoś. Jeden ma język elitarny, a musi się nauczyć mówić prosto, inny mówi prosto — a mówiąc prosto upraszcza człowieka. Sytuacja walki ideowej jest dla literatury sytuacją korzystną.

Tego nie można powiedzieć o walce politycznej. Walka polityczna nie wpływa na pogłębienie stanowiska. Pamiętamy jak słabymi były pierwsze utwory, które się ukazały zaraz po wojnie. Między „Starym dworkiem" Ważyka, a dajmy na to „Domem pod Oświęcimiem" Hołuja leży przepaść, jaka dzieli postawę tylko polityczną od postawy ideowej. Żółkiewski powiedział w swoim referacie, że człowiek współczesny musi być człowiekiem pełnym, jak człowiek Odrodzenia. Złe porównanie. Człowiek Odrodzenia był pełen wczechstronnej wiedzy. Ale tylko człowiek średniowiecza łączył wczechstronną wiedzę swojej epoki z wiarą w prawdy absolutne. Tylko człowiek średniowieczny nie był agnostykiem i umiał wyjaśnić sobie świat i znał kryteria moralne — obie rzeczy, których brak widzi Żółkiewski w dotychczasowej, tak surowo osądzonej literaturze polskiej.

Pisarz katolicki, który „przezwycięży swoje stanowisko światopoglądowe" — jak to było powiedziane — nie będzie już pisarzem katolickim. Daleki jestem od potępienia prób zdobywania pisarzy katolickich przez marksistów. Jeżeli zdołają ich przekonać — cóż na to można poradzić? Niech to jednak będzie walka idei przeciwko idei, światopoglądu przeciwko światopoglądowi. Niech to nie będą apele do pisarza jako do pisarza katolickiego.

Katolicyzm przeżywa w każdej epoce swoje własne słabości. Przezwyciężał je jednak zawsze sam i zawsze będzie przezwyciężał. Dziś słabością naszą są tendencje konserwatywne i polityczne. My je przezwyciężymy. Nie sądzę jednak, aby istniała rozsądna przyczyna wpychania nas w antypostępową i polityczną postawę. Wartość obiektywna katolicyzmu i katolików zawiera się w tym — że jest sobą. Światopoglądem.

To „wpychanie" zarzucam referatowi Żółkiewskiego. Żółkiewski rozprawił się z literaturą katolicką jednym właściwie słowem: polityczność. Był przy tym niekonsekwentny, ponieważ poprzednio zapewnił, że właśnie niepolityczność jest najcięższym grzechem pisarza. Jeszcze raz podkreślam: literatura katolicka nie jest literaturą polityczną. Jest literaturą ideową. Realizm katolickich — nie byłby katolickim.

Film

Dzwonnik z Notre Dame

Sonya Lewien autorka scenariusza filmu amerykańskiego „Dzwonnik z Notre Dame" potraktowała powieść Wiktora Hugo w specyficzny sposób. Jej stosunek do dzieła literackiego ograniczył się do poszukiwania sensacyjnej fabuły. Nie jest prawdą, że ten film jak to sugeruje program i niektórzy recenzenci przekłada powieść Hugo na język ekranu. Nie ma w nim ani śladu pietyzmu w stosunku do prawzoru. Wydaje się jasne, że realizatorzy „Dzwonnika" nie mieli zamiaru odtworzyć zawartości powieści i nie należy przypisywać im intencji o których im się nie śniło.

Z dzieła francuskiego pisarza „ostała się" jedynie... katedra i dzwony. Dekoracje są trafne, staranne i przemyślane. Reszta, dla widza, który chce odnaleźć ślady Wiktora Hugo jest jednym wielkim nieporozumieniem. Sądząc po interpretacji aktorskiej wydaje się że jedynie Charles Laughton znał kreowaną postać z pierwszej ręki, inni artyści (równie jak autor programu filmu polskiego) znali zapewne Wiktora Hugo jedynie ze scenariusza. Scenariusz nawet w wyborze wątku powieści przez dowolne przesunięcie akcentów uczuciowych, dowolne potraktowanie postaci, zmienił fabułę. Dramat dzwonnika został spreparowany w ten sposób, że miłość Quasimoda do Esmereldy jest ledwie zasugerowana, osią filmu staje się miłość Gringoire'a i cyganki. Esmeraldę wszelkimi środkami pozbawiono cech ludzkich. Scenariusz pozbawił ją wad, wybór interpretatorki, pięknej Maureen O'Hara, podkreślił papierowość tej postaci.

Jeśli można by zapomnieć o powieści Hugo i potraktować „Dzwonnika" jak sensacyjny film kostiumowy można by znaleźć w nim o wiele więcej zawartości myślowej i wartości artystycznej aniżeli w innych przeciętnych amerykańskich filmach rozrywkowych. Ale tu nasuwa się refleksja, że nawet realizatorzy Hollywoodu nie potrafili wyprać z treści i spłycić dzieła europejskiego pisarza. Akcja „Dzwonnika z Notre Dame" nie mogłaby być jasna gdyby całkowicie wyeliminować akcenty społeczne i tendencję rewolucyjną powieści, niemniej jednak trzeba podkreślić, że film nie uwypukla a przeciwnie tuszuje ideologię autora.

Uderzające w realizacji tego filmu jest pomieszanie ignorancji i staranności. Dekoracje i część kostiumów wskazują na pietyzm i znawstwo, wybór niektórych wykonawców, przede wszystkim Charlesa Laughtona, na staranność w obsadzaniu postaci (gra Laughtona ruchy, mimika, głos chociażby w scenie chłosty, niezrównana). Z drugiej strony najgorszej, stylizowanej szmiry — we fragmencie sądu na przykład, kiedy cygańska piękność ładnie upozowana po torturach, zostawiająca ślady krwi na podłodze, wezwana przez króla lekkim krokiem podchodzi do stołu sędziowskiego i wypielęgnowaną rączką sięgo po nóż. Strój i fryzura Esmeraldy pachnie zupełnie nie średniowieczną rewią. Tłum maszerujący w malowniczym trójkątnym szyku na katedrę przypomina balet operowy.

LESZCZ

Napisał i ilustrował

BOHDAN ARCT

W SERCU

GDY w sierpniu 1945 roku George Allison został zdemobilizowany, gdy zainkasował skromną odprawę wojenną i wcisnął na siebie wyfasowane w magazynach R. A. F-u wygniecione ubranie cywilne, znalazł się w obliczu poważnego i trudnego do rozwiązania problemu. O wojnie należało zapomnieć, trzeba było pożegnać się z rolą powietrznego asa, pogromcy niemieckich Messerschmittów, z rolą bohatera narodowego, którego fotografie pojawiały się regularnie na szpaltach londyńskich dzienników. Wojna przeszła, należała teraz do historii, a zajęci własnymi codziennymi kłopotami rodacy George'a zapomnieli szybko, może nawet zbyt szybko zarówno o Luftwaffe, jak i o dzielnych pilotach królewskiego lotnictwa. Ludzie ci zrobili swoje, spełnili szczytnie obowiązek, przypieczętowali krwią własną, krwią wroga wieloletnie zmagania powietrzne i... zostali odsunici na bok. Społeczeństwo przestało sobie zdawać sprawę z tego, jak wiele zawdzięcza tym skromnym i cichym ludziom powietrza i w pogoni za szybkim dorobkiem powojennym odwróciło się do nich plecami i pozostawiło ich kompletnie na łasce losu.

Rzeczywistość nakazywała więc przystosowanie się do nowych warunków, nakazywała schowanie do kieszeni metalowych odnaczeń bojowych, krzyży i medali, nakazywała zajęcie się bardzo prozaiczną i niezbyt emocjonującą funkcją zarabiania na kawałek chleba.

Dla George'a Allisona przedstawiało to poważny problem i nie wydawało się wcale łatwe po latach spędzonych w dywizjonach R.A.F-u Życie lotnika, pilota bojowego było tak różne od życia cywilnego, że ponowne wtłoczenie się w dane ramy wymagało nielada wysiłku, zaś w wypadku George'a było wprost niemożliwe. Uzyskanie pracy było rzeczą trudną, a ustawa o zapewnieniu zajęcia dla zdemobilizowanych okazała się w praktyce mało wartościowa. Ustawa mówiła, że każdy opuszczający szeregi żołnierz powrócić może do swego dawnego, przedwojennego zawodu i że każdy pracodawca musi przyjąć zdemobilizowanego na dawne stanowisko. Ustawa zapomniała jednak, że wojna trwała całe lata i że młodzi ludzie, którzy przed powołaniem w szeregi wojska wychodzili zaledwie ze szkół i znajdowali się dopiero u progu kariery, w wojsku dosługiwali się wysokich stopni i nie rzadko odpowiedzialnych pozycji. Powrót zatem do przedwojennego zajęcia oznaczał dla nich poważne cofnięcie się i prawdziwą degradację.

Było to wręcz śmieszne. George Allison był człowiekiem młodym i w chwili wybuchu wojny liczył sobie zaledwie lat osiemnaście, a jego cywilny zawód ograniczał się do posady praktykanta biurowego, co nie stało wiele wyżej od zajęcia chłopca na posyłki. W czasie kariery w R.A.F. George szybko dosłużył się stopnia oficerskiego, a jego wspaniałe kwalifikacje bojowe, niezwykła odwaga i spora doza szczęścia spowodowały, że z chwilą ukończenia wojny George zajmował odpowiedzialną i zaszczytną pozycję dowódcy myśliwskiego Skrzydła, co równoznaczne jest ze stopniem podpułkownika. Nawet więc przy maksimum dobrej woli i samozaparcia trudno byłoby wymagać, by zdemobilizowany podpułkownik pilot stawał się napowrót chłopcem na posyłki.

Tak więc George zmuszony został do wyszukania sobie pracy samemu i nie szło mu to wcale łatwo. Jedynym zajęciem, ofiarowanym mu w pierwszym roku po opuszczeniu wojska była posada w podrzędnej agencji ogłoszeniowej w Londynie. George spędził przy biurku równe dwa tygodnie i uważając, że grzebanie się w zakurzonych papierkach oraz roznoszenie listów po mieście zupełnie mu nie odpowiada, zatrzasnął pewnego dnia drzwi wejściowe wymienionego biura ogłoszeniowego i znalazł się na ulicy.

Dalsze poszukiwania pracy nie dały żadnego rezultatu, koszty wyżywienia pochłonęły szybko mizerną odprawę wojenną i w początkach roku 1946 George stanął dosłownie na progu ruiny, a świadomość, że po poprzedniej wojnie światowej wielu innych bohaterów narodowych musiało zająć się sprzedażą zapałek na ulicach stolicy Imperium Brytyjskiego, była dla niego bardzo słabą pociechą. Żołądek George'a dopominał się o swoje prawa, demobilizacyjny garnitur rozłazić się począł na grzbiecie. George znalazł się w sytuacji bez wyjścia i żałować począł, że nieopatrznie porzucił duszne biura London Advertising Company, gdzie praca upokarzała go każdą minutą, ale gdzie zarabiał dosyć pieniędzy na codzienny skromny posiłek, którego brak ogromnie teraz odczuwał.

George zginąłby zapewne z głodu, lub zakończył swą życiową karierę jako zwykły żebrak, gdyby z pomocą nie przyszło mu szczęście, jego przysłowiowa uncja szczęścia, która go tyle razy wyrywała poprzednio z objęć śmierci i ratowała w najróżniejszych tarapatach powietrznych.

Któregoś wiosennego poranka George wlókł się ulicami Londynu, zastanawiając się, czy nie należałoby wydać ostatnie pięć szylingów na przyzwoity obiad, który zapewne uciszyłby na pewien czas jego żołądek, buntujący się stale przeciw systematycznemu oszukiwaniu go przy pomocy zleżałych kromek chleba i kilku filiżanek nieświeżej herbaty dziennie. Obiad kosztował równe pięć szylingów i zaspokoiłby niewątpliwie skręcający kiszki głód, ale George pamiętać musiał, że pieniądze wystarczyć powinny na dobre kilka dni i że nic nie zwiastowało możliwości najmniejszego chociaż zarobku.

Ulicami londyńskiego West End przewalały się tłumy przechodniów, wystawy sklepowe zapchane były gamą wytwornych towarów, jezdniami toczyły się sznury eleganckich samochodów. George wlókł się wstydliwie pod murami, modląc się w duchu, by nie napotkał nikogo z dawnych znajomych. Nie umiał on zapomnieć, że jeszcze niedawno przechadzał się po tych ulicach w pysznym mundurze podpułkownika lotnictwa, że w kieszeniach jego dzwoniły wtedy srebrne krążki monet, a portfel wydymał się książeczką czekową jednego z poważniejszych banków. Ambicja i duma George'a cierpiały bardzo, a świadomość, że każdy z mijanych snobów uważał go z pewnością za łazika i darmozjada, napawała gryzącą goryczą.

— Rok temu — myślał George podnosząc kołnierz przewiewnej marynarki — każdy z tych idiotów byłby uszczęśliwiony, gdybym raczył mu uścisnąć rękę, a dzisiaj odwracają się ode mnie jak od zadżumionego...

George doszedł do placyku Piccadilly Square, przystanął na rogu i zawahał się. Nie wiedział, dokąd ma dalej iść, włóczęga była bezcelowa, a jedynym jej powodem była słabiutka nadzieja, że coś niespodziewanego się wydarzy, że pod którymś ze starannie zapisanych w notesie adresów otrzyma upragnioną pracę. Szanse były minimalne, bo George tyle już odbył jałowych wędrówek, że podeszwy jego znoszonych butów przedstawiały pożałowania godny widok.



— Hallo, George — rozległ się koło niego głośny okrzyk, a George podskoczył do góry i rozejrzał się z rozpaczą dokoła, nie wiedząc gdzie uciec przed natrętem. Nie podnosił głowy, ale mógłby przysiądz, że wołający mężczyzna spogląda na niego z pogardliwą ciekawością i że za chwilę wypowie parę litościwych wyrazów, tnących niczym uderzenia bicza.

— Cóż to, nie poznajesz starych kolegów?

George odwrócił się i stanął oko w oko z Billem Hardingiem, niegdyś zajmującym stanowisko dowódcy podległego mu dywizjonu. Bill patrzył ze szczerą i nieukrywaną sympatią i George momentalnie zapomniał o gnębiących go kłopotach.

— Jak się masz, Bill — wyciągnął do kolegi rękę.

W ciągu następnej pół godziny George zdołał stwierdzić, że owa uncja szczęścia jeszcze go nie opuściła. Przyjaciel zaciągnął go na obiad do jednej z modniejszych restauracji Soho, zamówił butelkę dobrego wina i z niezwykłą delikatnością podtrzymywał rozmowę, nie wymawiając jednego słowa na krępujący George'a temat wyświechtanego ubrania i zaniedbanego wyglądu. Dopiero gdy kelner uprzątnął ze stołu talerze, a obaj koledzy zapalili papierosy, Bill Harding obrzucił George'a bystrym spojrzeniem i zatrzymując wzrok na jego wychudłym obliczu zapytał ciepłym głosem:

— Cóż ty właściwie obecnie robisz, George?

— Jem twój obiad, wypijam twoje wino i palę twego papierosa — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— To wiem — odparł Bill. — Ale co poza tym. Widzę, że powodzi ci się nie nadzwyczajnie. Masz zajęcie?

— Nie mam.

Bill uniósł brwi.

— Przecież z twoimi kwalifikacjami...

— Kwalifikacje pilota myśliwskiego i dowódcy nie znaczą obecnie nic — przerwał mu cierpko George. — Nie zapominaj, że wojna się skończyła i że takie osobniki jak ja są zgoła zbyteczne.

— Przycisnęło cię?

— Jeszcze jak! — w głosie George'a zabrzmiała taka nuta szczerości, że przyjaciel poprawił się w krześle i zamyślił się głęboko.

— Latasz przecież wspaniale — powiedział wreszcie po dłuższej przerwie.

George roześmiał się z goryczą.

— Cóż z tego?

— Mógłbyś znaleźć zajęcie w lotnictwie cywilnym.

— Próbowałem. Nic z tego. Nawet pilotów bombowych nie chcą już przyjmować.

— Byłeś doskonałym dowódcą. Posada managera, czy organizatora jakiegoś przedsiębiorstwa odpowiadałaby ci doskonale.

— Zejdź z obłoków, Bill. Jedynym zajęciem tego rodzaju, ofiarowanym mi łaskawie była posada w London Advertising Company. Było to co prawda niezwykle interesujące w teorii, ale w praktyce ograniczyło się do roznoszenia firmowych listów.

— Długo tam wytrzymałeś?

— Dwa tygodnie. Później powiedziałem kierowniczce biura, takiej starej, wysuszonej babie w okularach na nosie, co o tym wszystkim myślę, no i oczywiście znalazłem się na ulicy.

Bill wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zawsze potykasz się o baby— zauważył.

George wzruszył z rezygnacją ramionami.

— Cóż na to poradzę. Do kobiet nie mam szczęścia.

Kolega obrzucił go krytycznym wzrokiem. George był młodzieńcem wysokim, postawnym, niewątpliwie przystojnym. Szerokie bary rozpychały znoszoną marynarkę, regularne rysy twarzy znamionowały stanowczość i energię, spod gładko zaczesanych jasnych włosów wychylało się wysokie, inteligentne czoło. George był typem, za którym normalnie kobiety szalały, a oświadczenie jego wydawałoby się wprost śmieszne, gdyby Bill nie pamiętał dawnych czasów, kiedy to jedynym powodem wszelkich kłopotów i zmartwień przyjaciela były właśnie przedstawicielki płci pięknej.

— Oczywiście — przytaknął krótko i zaciągnął się głęboko dymem. Baby zawsze ci dokuczały.

George dokończył wino i powoli podniósł się od stołu.

— Muszę cię już pożegnać. Mam kilka adresów z wakującymi posadami. Oczywiście szans nie ma, ale sumienie chcę mieć spokojne.

— Wiesz co — zatrzymał go Bill. — Zdaje mi się, że będę ci mógł pomóc...

George uciszył go gwałtownym gestem.

— Daj pokój — uniósł się. — Każda zapomoga od ciebie byłaby obelgą. Wiesz, jak nie lubię współczucia.

— Nie o to chodzi — zapewnił go Bill. — Miałem na myśli pracę.

George usiadł i wpatrzył się w kolegę z podnieceniem.

— Praca powinna ci odpowiadać. Jest ona związana z lataniem, chociaż oczywiście inne to będzie latanie, nie takie, jak za wojennych czasów, kiedyś się za Messerschmittami uganiał.

— Mówże prędzej — przynaglił go George.

— Sprawa przedstawia się następująco. Jeden z moich znajomych, jegomość z bardzo wypchanym portfelem, nabył właśnie samolot. Gdzieś na rządowej wyprzedaży kupił Dragon Rapide, na pewno pamiętasz tę maszynę, zupełnie przyzwoita, chociaż nieco powolna i trochę już przestarzała. Otóż mój znajomy kupił ją, urządził elegancką kabinę, fotele, podręczny bar i tak dalej, no i zamierza tym wehikułem włóczyć się po całym świecie, załatwiając swoje interesy.

— Rzeczywiście, twój znajomy musi mieć dobrze wypchany portfel — wtrącił George.

— O tak, — zapewnił go Bill.- To jeden z bogatszych ludzi w Anglii. Milionów dorobił się podczas wojny na różnych dostawach

— Bandyta — warknął George. — Wsadziłbym go do więzienia.

— Nie bądź głupi — przywołał go do porządku Bill. — Zapominasz, w jakim kraju się znajdujesz. Te rzeczy są tutaj wynagradzane, a pieniądz, obojętnie nawet jak zdobyty, cieszy się wielkim poważaniem. Ten mój znajomy otrzymał nawet niedawno tytuł szlachecki.

— A to za co?

— Za zasługi dla kraju. Wybudował kilka fabryk, zbił grubą forsę, okradając w legalny sposób innych, no i zasługa jest oczywista.

— Obrzydliwe.

— Zgadzam się zupełnie, ale nie o tym chciałem mówić. Ten mój znajomy chce latać, ale o lataniu nie ma najmniejszego pojęcia. Potrzeba mu powietrznego szofera.

— I to mi chcesz ofiarować? — zapytał z rozczarowaniem George.

— Tak, George — Bill nachylił się do kolegi i ciągnął serdecznym tonem: — Zostaw na razie na boku swoje przekonania. Jesteś bez pracy i potrzeba ci forsy, a jałmużny nie chcesz. W naszym kraju bez pieniędzy nie znaczysz nic. Możesz sobie myśleć o tym panu, co tylko chcesz, ale co ci szkodzi być pilotem jego maszyny.

— W ten sposób pomagać będę w jego szwindlach.

George zamyślił się. Jego zapatrywania na ludzi z gatunku nieznanego milionera były od dawna skrystalizowane, brzydził się on wyzyskiem i brudnymi metodami zdobywania pieniądza. Brzydził się niesprawiedliwością klasową, a ofiarowana mu posada nie pociągała zupełnie. Miał już odpowiedzieć odmownie, gdy palce jego natrafi-

CZARNEGO LĄDU

ły w kieszeni na dwa metalowe krążki, ostatnie posiadane pieniądze. Nie, George nie miał prawa odmówić, nie wolno mu było odrzucać ostatniej szansy.

— Jaki jest adres tego pana? — zapytał zduszonym głosem.

Bill wymienił jedną z ulic w okolicach Park Lane, w dzielnicy londyńskich milionerów.

— Zaraz tam idę — oświadczył George w przypływie energii.

— Poczekaj — zatrzymał go przyjaciel. — Nic nie róbmy na gorąco. Przede wszystkim dam ci do niego list, który cię wprowadzi i poleci jako genialnego i niezastąpionego pilota. Następnie sam zatelefonuję do niego i powiem, że nadarza mu się znakomita okazja, że lepszego od ciebie nie znajdzie w całym kraju. To potrzebne, a tacy ludzie, jak pan Harding...

— Harding? — zapytał George przerywajac koledze.

— Tak, nosi on moje nazwisko, bo to nikt inny, jak mój rodzony stryj.

— Nie podejrzewałem cię o taką rodzinę.

— Trudno, czasem człowiek znajdzie i stryja milionera. Nie moja przecież wina, że stary łobuz wzbogacił się na tych dostawach.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Bill — powiedział ze wzruszeniem George. — Gdyby nie ty, nie wiem, jak zakończyłyby się moje przygody...

— Twoje przygody dopiero się zaczynają — odparł Bill z błyskiem w oczach. — Nie wspominałem ci do tej pory, że twój przyszły pracodawca posiada córkę. Znam ją dobrze, więc dlatego cię ostrzegam.

— Córka milionera, co? — skrzywił się ironicznie George.

— Tak. June jest młoda, ładna, ale niemożliwie przy tym rozpuszczona. Ciężki orzech do zgryzienia.

— Ja go nie będę gryzł.

— Nie, ale prawdopodobnie będziesz musiał tę pannę wozić.

— Co takiego? — przeraził się George. — Baba na moim samolocie?

Bill pokiwał znacząco głową.

— June potrafi okręcić ojca dokoła palca, gdy jej się tak spodoba. To jest prawdziwe ziółko. No — Bill powstał i wyciągnął do George'a rękę. — Trzeba iść. Zaraz zatelefonuję do stryja i uprzedzę go o twej wizycie. Trzymaj się George i nie daj się. Zobaczymy się pewnie niedługo.

Na początku szło George'owi zupełnie dobrze. Poparcie kolegi okazało się całkowicie wystarczające, a pracodawca wyglądał sympatyczniej, niż się mogło wydawać. Roboty było niewiele, płaca solidna, dużo wyższa niż uposażenie bojowego pilota w R.A.F-ie. Rozpieszczona jedynaczka nie pojawiała się na widnokręgu, a spotkany kiedyś przypadkiem Bill wyjaśnił George'owi, że panna June bawi na dłuższym odpoczynku we Francji, na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie pracowicie wydaje zarobione ciężkim trudem ojca pieniądze.

George poczynał porastać w piórka. Po pewnym czasie zamienił znoszony demobilizacyjny garnitur na elegancko skrojone ubranie, szyte przez specjalistów West End, a mały pokoik na poddaszu na luksus niewielkiego apartamentu w samym Mayfair. Gaża wystarczała w zupełności na jego skromne wymagania, pozwalała nawet na oszczędności i konto bankowe George'a pęczniało coraz bardziej.

Nadeszła jednak nieunikniona chwila spotkania z June. Pewnego dnia, tuż po powrocie z Belfastu, gdzie George latał z prywatną pocztą swego chlebodawcy, wezwano go przed oblicze milionera. Pan Harding siedział w miękkim fotelu obszernego gabinetu i ćmił w zamyśleniu wielkie cygaro. Na jego rozlanym obliczu malowała się prawdziwa troska.

Gdy George wszedł do gabinetu i zajął wskazane mu krzesło, milioner wyciągnął z ust cygaro i rozpoczął przemowę:

— Mister Allison. Proszę się przygotować na jutro rano. Poleci pan na dłuższy przelot.

— W porządku — odparł George. — Wybiera się pan zapewne na kontynent. Do Francji czy Belgii?

Pan Harding uśmiechnął się cierpko.

— Wcale się nie wybieram. To nie mój pomysł. To moja córka.

— Oho — pomyślał George. — Zaczyna się.

— To pomysł June — ciągnął Harding. — Zachciało się jej przelotu dookoła Afryki. Rozumie pan, kobiecie trudno coś wybić z głowy.



— Rozumiem — odrzekł krótko George. — Tylko na taką podróż nie wybiera się zwykle z dnia na dzień. Trzeba trochę przygotowań, trzeba opracować trasę, trzeba przejrzeć dokładnie maszynę.

— Mister Allison. Niech mi pan tego nie tłumaczy. To i tak nie pomoże. Tutaj niestety decyduje June, a od jej decyzji apelacji nie ma.

— Dobrze więc — odpowiedział sztywno George. — Maszyna będzie gotowa na jutro, ale ja odpowiedzialności za tę wyprawę nie biorę.

Wychodząc gniewnie z gabinetu George natknął się na wysoką, kształtnie zbudowaną dziewczynę w zgrabnym kostiumie sportowym. Dziewczyna nęciła oko, była młoda, nie liczyła z pewnością więcej niż dwadzieścia wiosen i George, biorąc ją za jedną z sekretarek Hardinga, zamierzał już zaczepić i zaproponować wspólną wycieczkę do kina, gdy panna zatrzymała się przed nim i mierząc go chłodnym wzrokiem zapytała wyniośle:

— Pan jest nowym pilotem mego ojca?

George zrozumiał, że stoi przed słynną June.

— Ja odparł krótko.

— Jestem June Harding — przedstawiła się panna, nie wyciągając ręki. — Jutro lecimy z samego rana. Proszę wszystko przygotować i wystartować o świcie.

George uśmiechnął się szeroko.

— Czy pani się zdaje, że taki przelot...

— Nic mi się nie zdaje — ucięła ostro panna. — Proszę wykonać polecenie. To wszystko.

June odwróciła się i weszła do gabinetu ojca, pozostawiając George'a trzęsącego się ze złości. Przez chwilę myślał poważnie nad zawróceniem i wymówieniem posady, rozsądek wziął jednak górę. Ostatecznie zarabiał tyle, że odrobina wyrozumiałości należała się nawet takiemu stworowi, jak June Harding. George opuścił biuro i pojechał na lotnisko. Mimo wszystko trzeba było jakoś wywiązać się z nałożonego nań zadania.

— Wszystko przez baby — mruczał, nachylając się nad mapami i wykreślając trasę. — We łbach im się przewróciło i nie wiedzą same, czego chcą.

Afrykański przelot rozpoczął się następnego dnia o świcie, a pierwsza jego część poszła nawet zupełnie gładko. Dwoma skokami George dostał się do Gibraltaru, lądując po drodze we Francji dla uzupełnienia paliwa, dzień później znalazł się ze swą uroczą pasażerką w brytyjskiej Gambii, zaś po trzech dniach dotarł do Złotego Wybrzeża, gdzie posadził Rapide'a na znanym sobie z wojennych czasów lotnisku w Takoradi. Przelot szedł, jak po maśle, milioner zdążył zaaranżować uprzednio wszystko i załatwił wszelkie formalności, maszyna zachowywała się bez zarzutu, a młodociana pasażerka sprawowała się jeszcze lepiej od samolotu, siedząc spokojnie w swym fotelu i w niczym George'owi nie przeszkadzając.

— Chciałam pana przeprosić za niegrzeczne zachowanie się — powiedziała do George'a już pierwszego dnia, gdy maszyna znajdowała się jeszcze nad górami południowej Francji. — Byłam zdenerwowana i dlatego tak na pana wsiadłam.

— W porządku — odwrócił się do niej George. — Incydent zapomniany.

— No to zawrzyjmy przymierze — uśmiechnęła się June przymilnie.

— Nic temu nie stoi na przeszkodzie.

— Widzi pan, ja tak okropnie nudzę się w Anglii, że musiałam, po prostu musiałam się przewietrzyć.

— I dlatego wybrała się pani w tę podróż?

June popatrzyła na niego zagadkowo.

— Trochę dlatego, a trochę z innych powodów. Dowie się pan we właściwym czasie.

George dowiedział się już w Takoradi. June ocknęła się ze swego przyjaznego uśpienia i pokazała pazury.

— Ten klimat mi nie odpowiada — oświadczyła krótko na lotnisku, gdy George, umazany po łokcie olejem usiłował przy pomocy czarnych mechaników dokonać przeglądu maszyny.

— Co pani mówi, — spytał grzecznie George, podnosząc głowę sponad rozmaskowanego silnika.

— Nie podoba mi się tutaj.

— Zaraz przecież lecimy dalej — zapewnił ją George.

June wykrzywiła kapryśnie purpurowe wargi.

— Leci pan dalej sam — oznajmiła stanowczo.

George wypuścił z dłoni trzymany klucz francuski.

— Nie rozumiem. Czyżby chciała pani tutaj zostać?

— Niech pan nie gada głupstw — ucięła June. — Mam już dosyć lotu, przesiadam się na statek.

George poczuł, że żyły na skroniach rozszerzają mu się ze złości.

— Więc po co mnie pani tutaj ciągnęła? — wybuchnął. — Trzeba było od razu statkiem podróżować!

— Pan nie rozumie — June postanowiła widać go ugłaskać, bo zmieniła ton i ciągnęła łagodnie z nutą perswazji w głosie: — Proszę posłuchać, panie George. W porcie Accra stoi jacht mego znajomego, mego przyjaciela. Zabiorę się z nim, bo płynie on do Aleksandrii.

George domyślił się prawdy. Powodem przelotu był w rzeczywistości ów nieznany przyjaciel, którego z niewiadomych przyczyn June postanowiła spotkać dopiero tutaj. Prawdopodobnie chodziło o zmylenie ojca i uniknięcie plotek.

— Panno June — oświadczył George spokojnie. — Nic mnie nie obchodzą pani osobiste sprawy, ale otrzymałem od pani ojca polecenie odwiezienia pani do Anglii i muszę to polecenie wykonać.

— Ależ naturalnie — ucieszyła się dziewczyna. — Spotkamy się w Aleksandrii. Poleci pan tam i poczeka na mnie.

— Ależ to potrwa dwa tygodnie!

— Pański przelot?

— Nie, podróż jachtem.

— June odwróciła wzrok.

— Dwa tygodnie to nie długo.

— Jak dla kogo — burknął niedyskretnie George.

— A zresztą — zakończyła June. — Ojciec panu płaci. Zrobimy tak, jak mówię. W Aleksandrii przesiądę się napowrót na samolot, i polecimy wprost do Anglii. Ojca sama zawiadomię o zmianie planu.

George westchnął. Sprawa była przesądzona, a dalsza argumentacja nie doprowadziłaby do niczego. George otarł czoło, bo upał dawał się coraz bardziej we znaki i powlókł się do budynku portowego, by opracować nową trasę w poprzek Afryki. Nie było to przedsięwzięcie łatwe, specjalnie na tego rodzaju maszynie, ale szczęściem George spędził podczas wojny kilkanaście miesięcy na Złotym Wybrzeżu, transportując samoloty do Egiptu, znał więc dobrze teren i specyficzne warunki latania pod zwrotnikami i orientował się, jak przelot wytyczyć.

O June nie chciał więcej myśleć. Narwana dziewczyna wybitnie sobie z niego zakpiła, a jej uplanowana przygoda z posiadaczem jachtu wywoływała na usta George'a grymas niesmaku.

— Baby, zawsze baby — skarżył się sam do siebie. — Szlag by to trafił. I ta nie lepsza od innych, chociaż ładna bestia jak obrazek.

Maidugari powinno lada chwila pojawić się na szaro zielonkawym horyzoncie. George dawno minął Kano, gdzie lądował i uzupełniał maszynę. Odcinek do Maidugari był długi, ale po drodze nie było żadnych innych lotnisk. Zapas paliwa w zbiornikach Rapide'a wyczerpywał się szybko i George z utęsknieniem szukał pod skrzydłami jakiegokolwiek przejawu życia. Busz ciągnął się monotonnie, tworząc gładką i jednolitą ścianę, wyglądającą z wysokości niewinnie i uroczo, ale w rzeczywistości nie dając najmniejszych szans lądowania. George spojrzał na zegarek i zaniepokoił się jeszcze bardziej.

— Musiałem się pomylić — przemknęło mu przez głowę.

Sytuacja stawała się kłopotliwa, a przymusowe lądowanie w dżungli nie należało do przyjemności. Wokoło nie widać było żadnej osady, Maidugari pozostać musiało gdzieś z boku.

— Trudno — jęknął wreszcie George zupełnie zrezygnowany. — Trzeba lądować. Wszystko przez baby — dodał nielogicznie.

Wskaźnik benzyny stanął na zerze. Pod skrzydłami Rapide'a ukazał się niespodziewanie kawał wolnego gruntu. Nie namyślając się wiele George przymknął gaz i ukośnym ślizgiem skierował maszynę w stronę porośniętej krzakami polany.

Rapide dotknął ziemi, wyskoczył na jakimś wyboju i potoczył się gładko, zatrzymując się wreszcie tuż przed rachitycznymi palmami. George wywindował się z maszyny. W powietrzu panowała pozorna cisza, ale w krzakach buszu dawały się słyszeć jakieś odgłosy, szmery i trzaski gałęzi.

— Żeby mnie tylko jakieś bestie nie zżarły — zastanowił się na głos George. — Broni przecież nie mam.

Trzaski przybliżyły się i umilkły.

— Nie ma rady. Trzeba szukać ludzi.

Z gąszczu wyłoniła się nagle czarna głowa o wełnistych włosach i wielkim kolczyku w uchu. Głowa kobiety!

— Oj, niedobrze — wykrzyknął George dostrzegając zjawę. — Baba! Jeszcze jedna baba. Z tego nic dobrego nie wyniknie.

Z krzaków wyskoczyło kilkanaście postaci w strojach bardzo zbliżonych do kompletnej nagości. Kilkanaście postaci kobiecych, czarnych jak heban i świecących metalowymi ozdobami w nosach i uszach, obstąpiło ze wszystkich stron przybyłego z nieba białego człowieka. Nigeryjskie przedstawicielki płci nadobnej nie odznaczały się nigdy wybitną urodą, a dla George'a, zdecydowanego wroga kobiet, przedstawiały widok zgoła odrażający.

Sytuacja wymagała jednak akcji. Z ciężkim sercem George wdał się w dłuższą konwersację z hebanowymi stworami, starając się wyjaśnić im przy pomocy gwałtownej gestykulacji, że jego wielki ptak potrzebuje gwałtownie pokarmu. Kobiety kiwały ze zrozumieniem głowami, uśmiechały się zalotnie, aż wreszcie zniecierpliwione widać gestami George'a, ujęły go pod ręce i mimo rozpaczliwego oporu pociągnęły go waska ścieżką w głąb buszu.



Uncja szczęścia i tym razem nie zawiodła. Afrykańskie piękności nie zamierzały wcale popełnić na nim gwałtu, ale zawiodły go do brudnej murzyńskiej osady, gdzie znalazł się kacyk, znający kilkanaście angielskich wyrazów. Co najważniejsze, o kilka zaledwie mil od miejsca lądowania leżała brytyjska farma, a wysłani tragarze powrócili po kilku godzinach, niosąc na głowach pękate blaszanki z benzyną.

Było to doprawdy niezwykłe szczęście i morale George'a, nadszarpnięte poprzednio poważnie, wybitnie się podniosło.

George uścisnął rękę starego wodza, zabrał tragarzy i odnajdując wiodącą na polanę ścieżkę powrócił do maszyny. Samolot dziwnie jednak zmienił się w czasie jego nieobecności. Skrzydła strzępiły się teraz poobrywanym płótnem, [illegible], a z rozprutego kadłuba wyglądały na świat zdeformowane bebechy foteli. Za to w pobliżu Rapide'a kilkanaście kobiecych postaci, przybranych fantastycznie w płócienne i skórzane płachty, tańczyło jakiś skomplikowany taniec, zapewne taniec wdzięczności dla białego gościa, który im tak wspaniałe podarunki przywiózł w podniebnym ptaku.

George usiadł na ziemi i klął długo i paskudnie, czując się tak bezradny, jak pozostawione w kołysce niemowlę.

— Trzy tysiące mil — jęknął wreszcie. — Trzy tysiące mil przeleciałem tylko po to, by mi murzyńskie babsztyle maszynę na kawałki rozebrały. Ładną będą miały pamiątkę!

Dalszy ciąg historii George'a Allisona był krótki. Droga powrotna do Anglii potrwała blisko trzy miesiące. bo przedzieranie się przez podzwrotnikowy busz jest przedsięwzięciem raczej nieprzyjemnym, a żegluga na towarowym frachtowcu zajmuje więcej czasu, niż przelot na Rapide. Po długich jednak perypetiach George znalazł się w Londynie i uzupełniwszy postrzępione części garderoby zameldował się u pracodawcy.

— A, Mister Allison — ucieszył się milioner, gdy George, chmurny jak noc wstępował w wytworne progi gabinetu. — Proszę, niech pan siada. Miał pan przyjemny urlop, prawda? Córka już mi opowiadała, że nie chciała czekać na pana w Aleksandrii. Spotkała wypadkiem swego starego znajomego i dostała się do Anglii na jego jachcie. Miała doskonałą podróż i bawiła się doskonale. Z całej wyprawy jest szczerze zadowolona.

— Nie wątpię — mruknął George.

— Co do pana — Harding zawahał się. — Wiem, że jest pan wyśmienitym pilotem i dlatego nie winię pana o stratę samolotu, chociaż na drugi raz radziłbym być ostrożniejszy z kobietami.

George był zbyt wyczerpany i przybity, by zareagować na to oświadczenie.

— Chciałbym trochę wypocząć — odezwał się wreszcie.

— Ależ naturalnie — zapewnił go milioner. — Może wypoczywać pan aż do jutra. Za dwa dni poleci pan na niewielki przelot.

— Na czym? — zaciekawił się George.

— Mam już nowy samolot, kupiłem go w czasie pańskiego afrykańskiego urlopu.

— Aha — mruknął George bez śladu zainteresowania.

— Tak. June nie była jeszcze w Rio de Janeiro, a słyszała od przyjaciółki, że otwarto tam właśnie nowy dancing. Rozumie pan, że pośpiech jest wskazany, tym bardziej, że June umówiła się z kimś w... nie pamiętam już gdzie. Sam pan to miejsce znajdzie. Południowa Ameryka nie jest przecież taka duża.

Bohdan Arct

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZJAZD LITERATÓW

W dniach od 20 do 23 stycznia odbył się w Szczecinie krajowy zjazd delegatów Związku Zawodowego Literatów z udziałem reprezentantów literatury zagranicznej.

Przybyłych przedstawicieli Rządu, władz miejscowych oraz licznie zebranych uczestników zjazdu powitał prezes Zw. Zaw. Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz, zapraszając na przewodniczącą zjazdu Ewę Szelburg-Zarembinę, a do prezydium Adama Ważyka, Jerzego Andrzejewskiego, Mieczysława Jastruna, Jana Brzechwę, Stefana Flukowskiego. Po odczytaniu licznych depesz, nadesłanych na zjazd, zabrał głos przedstawiciel Zw. Literatów Czechosłowackich dr Jan Pilarz.

Z kolei przemawiali: sekretarz Związku Literatów Słowackich, dr Jan Poniczan i prezes Związku Literatów Węgierskich Szandor Gergeri.

Witali następnie zjazd: K. Kuryluk w imieniu Rady Związków Artystycznych, Julian Maliniak w imieniu Polskiego Związku Wydawców, Walery Jastrzębiec - Rudnicki w imieniu ZAIKS-u oraz Michał Rusinek w imieniu PEN- Clubu Polskiego.

W części popołudniowej pierwszego dnia zjazdu zabrał głos wiceminister kultury i sztuki — Sokorski. Po przemówieniu wicemin. W. Sokorskiego, w związku ze 150 rocznicą urodzin Adama Mickiewicza, wygłosił okolicznościowy odczyt Wacław Kubacki.

W godzinach wieczornych odbyło się przyjęcie, wydane przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich dla delegacji zagranicznych.

W czasie przyjęcia odbyło się wręczenie nagród literackich, przyznanych na konkursie Zw. Zaw. Literatów. Nagrody otrzymali: prof. U. J. Kazimierz Wyka za prace w dziedzinie krytyki literackiej i Stanisław Wygodzki za całokształt twórczości poetyckiej. Wysokość każdej z nagród wynosiła po 100.000 zł.

W drugim dniu obrad po przemówieniu Leona Kruczkowskiego wygłoszonym z okazji 25-tej rocznicy śmierci W. Lenina powitano przybyłych na zjazd delegatów rumuńskich.

Z kolei Stefan Żółkiewski wygłosił referat o powojennej prozie polskiej.

Po referacie S. Żółkiewskiego rozpoczęła się dyskusja. Pierwsi zabrali głos prof. Kubacki i Leon Kruczkowski.

Po przerwie obiadowej przewodniczący udzielił głosu przedstawicielowi pisarzy rumuńskich — redaktorowi czołowego pisma literackiego w Rumunii — Florinowi Tormea, który przekazał pozdrowienia pisarzy rumuńskich dla zjazdu.

Następnie zabierali głos: St. Albrecht, Hieronim Edward Michalski, Aleksander Watt, Juliusz Żuławski, Jerzy Zawieyski, Stefan Flukowski i Jan A. Król.

W trzecim dniu obrad przemawiali: Mieczysław Jastrun, Leopold Lewin, Jerzy Turowicz, Jan Dobraczyński, Wojciech Natanson, Adam Ważyk, Adam Polewka, K. Z. Skierski i Ryszard Matuszewski.

Na zakończenie podsumowali dyskusję min. Sokorski i Stefan Żółkiewski.

W czwartym dniu zjazdu, po powitaniu delegacji pisarzy radzieckich, zajęto się sprawami zawodowymi i organizacyjnymi. Wybrano nowy zarząd PZLP w składzie: Leon Kruczkowski, J. Iwaszkiewicz, Ewa Szelburg-Zarembina, Julian Tuwim, Leopold Lewin, Władysław Broniewski, Julian Żuławski, Adam Ważyk i Aleksander Maliszewski.

NAGRODY MIASTA KRAKOWA

W ramach uroczystości czwartej rocznicy wyzwolenia Krakowa odbyło się w sali MRN wręczenie naukowych i artystycznych nagród m. Krakowa.

Nagroda naukowa za rok 1947 przyznana została prof. U. J. Tadeuszowi Since, za jego działalność naukową w dziedzinie filologii klasycznej, a zwłaszcza za pomnikowe dzieło „Literatura grecka".

Nagrodę naukową za rok 1948 przyznano prof. Teodorowi Marchlewskiemu, rektorowi U. J. za pracę pt. „Ewolucja dominacji" część druga, oraz za monografię „Genetyczne podstawy doboru hodowlanego".

Nagrodę naukową za rok 1949 otrzymał prof. A. G. H. Witold Budryk za pracę naukową: „Badania nad możliwością wzbogacenia krajowych rud żelaznych".

Nagroda literacka za rok 1948 przypadła w udziale Kornelowi Filipowiczowi za zbiór opowiadań z okresu okupacji pt. „Krajobraz niewzruszony" oraz za mającą się ukazać nakładem „Czytelnika" powieść „Księżyc nad Nidą" oraz szkice „Profile moich przyjaciół".

Nagroda muzyczna została przyznana Andrzejowi Panufnikowi za kompozycje „Nokturn na ork. symfoniczną", „Krąg kwintowy" — 12 utworów fortepianowych, „Kołysankę" i 15 pieśni ludowych.

Nagrodę architektoniczną za rok 1947 przyznało jury inż. Czesławowi Boratyńskiemu, dyr. wydz. budownictwa w Zarządzie Miejskim za realizację szeregu zagadnień urbanistycznych, budowę gmachu Muzeum Narodowego oraz licznych szkół i zakładów opieki społecznej.

Nagrodę plastyczną sąd konkursowy przyznał prof. Wojciechowi Weissowi za całokształt twórczości plastycznej.

Nagrody za działalność w zakresie przemysłu artystycznego udzielono prof. Wiesławowi Zarzyckiemu za r. 1947, prof. Karolowi Homolacsowi za r. 1948 i prof. Witoldowi Chomiczowi za 1949 r.

Wszystkie nagrody wynoszą po 100.000 zł.

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI UCZCIŁ LEOPOLDA STAFFA

W dniu 22.I. na Uniwersytecie Jagiellońskim odbyła się uroczystość wręczenia Leopoldowi Staffowi dyplomu doktora Honoris Causa.

Leopold Staff jest czwartym artystą polskim, którego spotyka to najwyższe wyróżnienie Wszechnicy Krakowskiej.

W r. 1885 doktorat taki otrzymał Jan Matejko, w r. 1909 Henryk Sienkiewicz, w 1930 r. — Karol Szymanowski.

W uroczystości wzięli udział przedstawiciele władz, partii politycznych, świata nauki i sztuki oraz senat Uniwersytetu z rektorem Marchlewskim na czele.

Wchodzącego na salę znakomitego poetę-jubilata powitano żywiołowymi oklaskami. Po odśpiewaniu kantaty przez chór akademicki, zabrał głos prof. U. J. Pigoń.

Mówca uzasadnił nadanie poecie doktoratu, czyniąc przegląd jego 50-letniej twórczości lirycznej. Twórczość Staffa, sięgająca okresu Młodej Polski, towarzyszy kilku następnym pokoleniom poetyckim aż po najmłodszą generację powojenną. Po uwypukleniu zasług poety, jako genialnego odtwórcy-tłumacza, prof. Pigoń zakończył stwierdzeniem, że U. J. promocją doktorską pragnął uczcić czołowego poetę polskiego, tworzącego na przestrzeni trzech generacji.

Następnie przemówił prof. Wyka, dając wnikliwą charakterystykę osobowości poetyckiej Staffa. Mówca podkreślił nurt optymizmu, znamienny dla twórczości poety i porównał go z Cyprianem Norwidem, który do najpóźniejszego okresu twórczości zachował pogodną mądrość.

Po odczytaniu przez prof. Pigonia łacińskiego tekstu dyplomu przedstawiciele młodzieży wręczyli poecie wiązankę kwiatów.

Zabrał głos następnie Leopold Staff, dziękując Senatowi U. J. za zaszczytne wyróżnienie. Poeta przypisał je chęci podkreślenia znaczenia poezji oraz doniosłego celu — postępu, któremu powinna ona służyć.

SPRAWA FILHARMONII WRESZCIE AKTUALNA

W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie prezydium Komitetu Organizacyjnego Filharmonii Narodowej.

Po wszechstronnym przedyskutowaniu sprawy utworzenia Filharmonii Narodowej, zebrani jednomyślnie wypowiedzieli się za odbudową, na przyszłą siedzibę tej instytucji, dawnego gmachu Filharmonii Warszawskiej przy ul. Jasnej oraz za takim rozplanowaniem prac budowlanych, aby oddanie gmachu do użytku nastąpiło nie później niż jesienią 1951 r.

WIECZÓR AUTORSKI M. KONONOWICZA i Z. LICHNIAKA

DNIA 23 stycznia w Sali Parafialnej, przy ul. Łazienkowskiej 14, odbył się Wieczór Autorski M. Kononowicza i Z. Lichniaka, na którym obaj autorowie odczytali szereg własnych utworów, po czym nastąpiła dyskusja.

Dyskusja dotyczyła nie tylko zagadnień bezpośrednio związanych z odczytanymi utworami, ale objęła również zagadnienia twórczości katolickiej w ogóle.

Teatr rapsodyczny

Zmiany w bytowaniu ludzkim dokonują się najłatwiej i najnaturalniej, gdy pierwszym bodźcem i zasadniczą ich przyczyną jest „odkrycie" lub „wynalazek". W takich wypadkach bez tarć, niemal niespostrzeżenie zmienia się styl, sposób, granice i horyzonty ludzkiego życia. Prawdom i prawom oczywistym, uchwytnym zmysłowo poddaje się ludzkość bez oporu. Inaczej — gdy ruszyć ma z posad bryłę świata jakaś idea. Walka starego porządku jest walką o życie, a więc nie zna kompromisów. Możecie się z tą prawdą spotkać na każdym roku. Wśród naszych zjawisk kulturalnych ukazała się ona widoczna dla każdego w stosunku olbrzymiej większości społeczeństwa do Teatru Rapsodycznego.

I tu jak zawsze — wielka sprawa zrodziła się bez hałasu, z dzielnego trudu małej garstki zapalonej młodzieży i jej wytrwałego przywódcy dra M. Kotlarczyka. I oczywiście trafiła na grunt, po którym wędrówka i realizacja nowych wartości artystycznych nie jest łatwa.

— Aby dojrzeć w kształcie jakiejś nowej działalności prawdziwe wartości trzeba równocześnie umieć patrzeć krytycznie na istniejący w danej dziedzinie stan rzeczy. Trzeba też — mówiąc otwarcie — choć trochę wyprzedzać myślą swój czas.

Teatr Rapsodyczny jest nową ideą w życiu naszej kultury. Pozycja tej rośliny wyrosłej w podziemiach okupacji nie jest jasno ustalona. Śmiało można przypuszczać, że dużo jeszcze atramentu przelać muszą krytycy i publicyści, dużo trudu oddać sprawie, nim myśli i idee przewodnie Teatru staną się trwałym elementem naszej kultury, nim je naród przyswoi i uświadomi sobie, jak bogacą skarbiec jego ducha.

Myśl przywrócenia dawnej potęgi słowu żywemu jest zamiarem olbrzymim i dla kultury nie mniej ważnym niż dla cywilizacji pokazanie np. mówiącego tłumom przy pomocy telewizji.

Idea podniesienia dźwięku słowa mówionego na te wyżyny artyzmu na których „zabił" go wynalazek Gutenberga — jak się wyraził dr Kotlarczyk, a na które w trudzie wieków wzniosła go starożytność i kultywowali trubadurzy, minnesingerzy i wajdeloci średniowiecza — przerosłe siły jednego zespołu, nie mniej pozostawia mu laur pierwszeństwa.

Teatr Rapsodyczny postawił sobie nie tylko to zadanie. Ambicją Zespołu jest wytyczyć nowe drogi twórczości dramatycznej w ogóle. A oto ku czemu one prowadzą:

1) Jak się rzekło — ku przywróceniu pierwszego miejsca w teatrze poezji i kultu wielkiego słowa, którego teatr ma być świątynią. Nawiązano do tradycji antycznych, wprowadzono deklamację chóralną.

2) Oczyszczeniu sceny z elementów nieistotnych. Jak najdalej posunięte uproszczenie momentów stanowiących o widowisku teatralnym a zarazem dążenie do ich monumentalności. A więc inscenizacja i to, co potocznie nazywa się „grą" sprowadzone zostały do form najprostszych, często po prostu „wizyjnych".

3) Tak pomyślany teatr staje się świątynią, w której odprawione misterium przenosi widza w zaświaty, którymi kierują inne prawa niż padołem. Stąd pochodzi, że sztuka Teatru Rapsodycznego choć związana tak silnie z przeszłością, teatrem antycznym i polską wielką poezją — jest zarazem na wskroś nowoczesna przez swe dążenie do uproszczeń i surrealistyczny wydźwięk.

4) A wreszcie rzecz tak ważna w epoce rozbudowy i przebudowy naszej kultury — społeczny charakter idei teatru rapsodycznego. Jeden mały teatrzyk p. Kotlarczyka nie uprzystępni skarbów ducha rzeszom pragnących, tym więcej, że nie wszyscy publicyści ujrzeli tę prawdę (exemplum J. A. Szczepański). Ale wierzę, że stanie się zaczynem pod przyszły chleb powszedni mas.

Aby nie być gołosłownym podam zwięźle, w czym jeszcze upatruję jego ogromne znaczenie społeczne. Teatr Rapsodyczny jest teatrem najtańszym. W porównaniu z innymi — poza ludźmi — nie potrzebuje prawie niczego. Wychodzi naprzeciw tłumom pracujących, by przenieść ich własnym trudem w głąb narodowej i ogólnoludzkiej kultury.

W czasach wyścigu pracy, gdy twarde dłonie szarego człowieka tak niewiele mają czasu do otwierania dzieł wielkiej poezji i prozy — podawanie tłumom w ciągu jednego spektaklu olbrzymich poematów lub parotomowych powieści (Lord Jim) jest działalnością zasługującą na najwyższe uznanie.

A. Gella

Jan Dobraczyński

ŻEBRZĄCY PROROK (2)

Opowieść o Leonie Bloy

W czerwcu 1864 r. młody Dordończyk z Périgeux, 18-letni Leon Bloy pojawia się na bruku paryskim. Niewiele przywozi ze sobą. „Moje wykształcenie było skromne. Biedny mój ojciec musiał mnie zabrać z gimnazjum, ponieważ godziłem nożem w moich małych kolegów — rys o naturalnym wdzięku. Wkroczyłem w życie jak awanturnik, straciwszy wiarę, bez grosza, pełen zawiści i ambicyj, leniwy i zmysłowy.

W Paryżu Bloy wpada od razu w objęcia nędzy, tej nędzy, która będzie odtąd jego towarzyszką nieodłączną. W ciągu czterech najbliższych lat pracuje kolejno jako urzędnik u architekta, studiuje w Beaux-Arts, znowu pracuje u adwokata... „Monotonność pracy, której nie znosiłem — napisze potem w „Desesperé" — okrutnie pedagogiczne poskromienie moich żądz, przez konieczność wyrzeczeń, ambicja rozpasana i bez określonego celu, wieczny poryw potężnej woli, której społeczeństwo współczesne nie potrafi zużytkować, wreszcie całkowity brak jakiejkolwiek formuły religijnej, aby zamortyzować tyle uderzeń — to wszystko sprawiło, że zapadłem w rodzaj psychologicznego snu na końcu którego, czekało mnie samobójstwo, w które trzeba mi było się rzucić... Myślę, że wycierpiałem w ciągu dwóch, czy trzech lat, które upłynęły, wszystkie tortury i wszystkie agonie duszy, oraz ciała. Pewnego dnia przyszło do wyboru: umrzeć albo zawładnąć, za wszelką cenę, mechanizmem nadziei. Zostałem chrześcijaninem..."

To było wiosną 1869 r. „Pewnego pięknego dnia spodobało się Bogu zmienić to wszystko, a mnie zrobić chrześcijaninem. Jak się dokonał ten cud? Nie wiem. Ale skutek był cudowny i natychmiastowy. Radośnie przyjąłem nadnaturalny zalew tego wielkiego szczęścia. Płakałem, modliłem się...

Nowonarodzony chrześcijanin wyrusza w rok potem na wojnę, jako ochotnik armii Loary, gen. Cathelineau. Bije się i wraca do Paryża z goryczą klęski, z niewygasłym już nigdy gniewem do Niemców. Gdy mówić będzie o nich w latach wojny 1914—1917 na twarzy starca pojawiać się będzie groźny wyraz.

Ale tymczasem wraca do Paryża, do oczekującej go nędzy, do zajęć które napawają go wstrętem. Jakiś czas zajmuje się komisowym handlem książkami, namawia ludzi „na kupowanie głupich romansów". W momencie rozpaczy spotyka Ludwika Veuillot, bohatera Lourdes, wodza „dobrej prasy". „Veuillot zawołał mnie jak niegdyś Pan zawołał Jana, a rzuciłem się bez namysłu w nurt publicystyki. Ludwik Veuillot odkrył mnie, wynalazł. Stałem się cenionym felietonistą katolicyzmu. Ten potężny człowiek zadecydował o moim losie. Tytułem wyjątku przyznano mi także średnią, wierszówkę miałem otrzymywać 50 fr. co drugi miesiąc, z groźnym ostrzeżeniem abym się nie wałkonił. Pewnego dnia, prawie na początku ogłosiłem w „Univers" artykuł, który został natychmiast przedrukowany w prowincjonalnych dziennikach katolickich. Od tej chwili moja pełna chwały posada musiała się skończyć. Dobroduszność ojcowska starego doga została nagle zaprawiona kwasem; dano mi do zrozumienia, że on tylko ma prawo robić tyle hałasu. Zgasiłem więc swoją pochodnię, i wróciłem — na skromną drogę..."

Znowu zostałem urzędnikiem, tym razem na kolei. Przez 18 miesięcy znosił „męczeństwo rozżarzonego krzesła".

Wraca do pracy publicystyczno - literackiej. Wiąże się z Coppeé i Barbey d'Aurevilly. Tak nadchodzi rok 1877. W tym to roku Bloy czyni pierwszą próbę wstąpienia do Trapistów w Soligny. Naturalnie bez rezultatu. „Po trzech miesiącach twardego życia zakonnego — pisze — okazało się, że mam zbyt wiele imaginacji, aby móc w klasztorze pozostać". Często nazywa siebie odtąd: „przegranym trapistą".

W tym „przegranym trapiście" wciąż płonie wściekły ogień. „Gdybym się nie lękał nadużycia świętego tekstu — pisze w liście do p. Hayem — nazwałbym sam siebie **człowiekiem pożądań**, tak jak Anioł Pański nazywa Daniela w Świętej Księdze. Pożądanie światła, pożądanie piękna, pożądanie miłości, pożądanie sprawiedliwości, pożądanie chwały?" Zaraz po powrocie z Soligny ma miejsce słynna, opisana potem w „Desesperé" historia.

Bloy poznał kobietę, prostytutkę, Annę — Marię Roulé. Zaopiekował się nią, a ona zaopiekowała się nim. Miał trzydzieści dwa lata, od czternastu mieszkał w Paryżu i nie zaznał dotąd niczego poza nędzą, samotnością, bezskutecznym poszukiwaniu sławy i wielkości. Ta dziewczyna, prosta, zwykła, już strawiona nierządem, ale zachowująca wielkie bogactwo uczuć, potrafiła dać szalejącemu samotnemu Bloy poczucie przelotnego ukojenia. Te kilka lat tworzy okres dziwny, do dziś nieco tajemniczy.

„Od 1879 do 1882 trwa epoka — wspomina Bloy — w której widziałem prawdziwą Weronikę" — prawdziwą, ponieważ imię Weroniki będzie potem dane bohaterce „Desesperé". Jeżeli jednak „prawdziwa Weronika" umiała dać pisarzowi chwile ciszy i ukojenia, jeżeli dała mu to, co człowiekowi żyjącemu pasją, nerwami, niepojętym wysiłkiem twórczym dać może kochająca go aż do uwielbienia kobieta, jednocześnie wtrąciła go w przepaść wewnętrznego konfliktu. Bloy rozumiał, że nie może ożenić się z Anną-Marią. Był już poza tym chrześcijaninem gorącym, który wyrzucał Burgetowi, że chce być „Apollem Belwederskim Niepokoju i Sceptycyzmu", który gotował się do twórczości, mającej przypominać „Dantego, ale bardziej strasznego, bardziej porwanego sprawami Boskimi, mniej pogańskiego, bogatszego o źródło doświadczeń współczesnych — o tę Wenus, zrodzoną w czerwieni z piany oceanu krwi i oceanu łez wylewanych na ziemi od z górą 600 lat". Takie zadanie wymagało czystości, a tej czystości pisarz nie posiadał. Zmysły grały, bliskość kochającej kobiety działała jak magnes. Bloy znalazł się w ślepej uliczce. Mógł z niej wyjść, albo depcząc oddanie kobiety, odpychając ją od siebie, skazując na nowo na życie w nierządzie, albo rezygnując ze swej postawy, która była w nim wszystkim. Te lata, to walka o utrzymanie się na pozycji niemożliwej do utrzymania. W pewnym okresie Bloy znowu szturmuje do wrót klasztoru trapistów. Żebrze o przyjęcie, wiedząc, że w Paryżu, w jego mieszkaniu czeka jego powrotu Anna-Maria. Jego spowiednik, o. Roger powiada mu: „Chciałbym abyś powziął postanowienie pozostania w klasztorze. O ile cię bowiem znam jest to najpewniejsza droga, abyś się mógł zbawić. Jesteś tak dumny, a jednocześnie tak wolnomyślny, że skoro stąd odejdziesz w świat, chcąc żyć po chrześcijańsku, spotkasz się ze wszystkimi trudnościami świata..."

Mimo to i tym razem nic nie wychodzi z próby zostania trapistą. Bloy wraca do Paryża i mimo walki — w ramiona Anny-Marii.

Próżno wyznaje: „Można płonąć wiarą i być jednocześnie pełnym słabości, tak jak kochanek najbardziej kochający może czuć swoje ciało wstrząśnięte widokiem innej kobiety, niż ta, którą kocha całym sercem..." Sytuacja jest nie do zniesienia. Na swoją słabość Bloy szuka ratunku w pielgrzymce w 1880 r. do La Salette (drugiej w swoim życiu, odbytej dzięki zasiłkowi p. Hayem, Żydówki, swej serdecznej opiekunki), na którą zabiera również Anne - Marię. Naturalnie skutku nie może być żadnego. Istnieje nieustępliwe prawo o odrzuceniu ręki, która gorszy i wyłupieniu oka, które gorszy. Unikamy lękliwie rozgryzienia tego tekstu. Uspokajamy się wykładając sobie, że tu chodzi o jakąś „radę" ewangeliczną, względnie po prostu o unikanie zgorszenia. Godzimy się z tym, że katolik powinien unikać niewłaściwego widoku, niewłaściwego słowa... Ale słowa Chrystusowe wcale tu o tym nie mówią. Ręka jest naszym skarbem, podobnie jak i nasze oko. Chrystus nadto dodaje: prawa — jakby dla silniejszego zaakcentowania jej wartości. Bez ręki i bez oka nie jesteśmy zdolni do pracy. Nawet do pracy dla Boga! Mimo to nakaz brzmi twardo: odrzucić! Nawet coś co służy dobru może gorszyć. Nawet coś, co ofiarowujemy w służbę Dobra — potrafi gorszyć. Oto nędza słabości ludzkiej! A jednocześnie — źródło siły. Bo wyrzekając się oka i ręki, które gorszą, — wyrzekając się na Słowo Boże **wszystkiego** — możemy osiągnąć rzecz o nieporównanej cenie: Oko i Rękę Łaski, a więc **wszystko**. Rezygnujemy z naszych środków o ograniczonym zasięgu, otrzymujemy inne — nieskończenie potężniejsze.

Czy Bloy wyrzekł się Anny-Marii? Właśnie nie. Za słaby był na gest całkowitego zawierzenia Miłosierdziu Bożemu. Latami wlókł za sobą ciężar wewnętrznego konfliktu. Ale także jego pozornej „nierozwiązalności" nigdy nie uległ. Nie ustąpił w beznadziejnej walce. Toczył ją uparcie, ciągle przez słabość zwyciężany, ciągle sam swój pokój burzący. Aż wreszcie Bóg sam uderzył gromem: nieszczęśliwa ex-prostytutka, wciśnięta między grzeszną słabość swego zdeprawowanego ciała, a nieludzkie wymogi jakie jej i sobie stawiał Bloy, dostała pomieszania zmysłów. Łaskawy woal spadł na ducha słabszego. Ale Bloy pozostał z raną w sercu: znowu zepchnięty w otchłań samotności i nędzy, a jednocześnie trawiony niegasnącym ogniem **służenia**. Jeszcze raz, ostatni w 1883 spróbował wstąpić do Benedyktynów w Grande - Chartreuse. Bez rezultatu.

Wtedy zrozumiał, że zadanie jego życia zostało wytknięte w 1884 r.; trzydziesto-ośmio letni Bloy wydaje swą pierwszą książkę: „Revelateur du Globe" — poświęconą Krzysztofowi Kolumbowi. Zostaje pisarzem.

W ciągu następnych 32 lat Bloy napisze i wyda 35 książek. Książka na rok — jest to średnia miara regularnie pracującego pisarza. Bourget przez całe życie pisał 2 powieści rocznie. Ale nie zapominajmy, czym jest twórczość Bloy. Ten człowiek jest przez całe życie głodny, zawsze zmarznięty, co parę miesięcy musi zmieniać mieszkanie, czasami uciekając przed niemożnością wytrzymania w jakimś potwornym lokalu, innym znów razem zmuszony do usunięcia się, twardą koniecznością — płacenia za lokal...

Takie będzie odtąd życie Bloy. Kiedyś wybuchnie: „Czy Bóg pozwoli mi, abym wreszcie zaczął żyć z mojej pracy, jak każdy robotnik? O tę łaskę od dawna proszę ze łzami!? Ale ta łaska nie będzie mu dana do końca. Olbrzymie dzieło trzydziesto-trzy letniej pracy zaledwie pokryje koszt utrzymania życia nędzarza i jego rodziny. Na parę dni przed śmiercią Bloy dowie się, że jego rozrachunki z wydawcami zostały... wyrównane?

Wróćmy jednak do roku 1884. W rok potem zimą 1885 Bloy cierpiąc i marznąc w podmiejskim domku w Fontenay-aux-Roses rozpoczyna pisać „Le Desesperé". Zima jest ciężka, pisarz ślęcząc nocami nad swoją powieścią wydaje „jęki tak ponure, że niepokoją one sąsiadów..." W maju 1886 Bloy wraca do Paryża z rękopisem „Le Desesperé" w ręku. Drukuje ją w wydawnictwie Soirat, które przerażone tonem i nader wyraźnie namalowanymi w powieści portretami rozmaitych „bonzów" literatury francuskiej, żąda aby na pierwszej stronie figurował fałszywy tytuł: „drukarnia Leona Bloy, 7, ulica Joanny."

Powieść — powiemy o niej później — została natychmiast zamordowana tępym nożem krytyki. Urażeni „bonzowie", milczeniem zemścili się na zuchwałym debiutancie. Nie darowano mu odwagi — i graniczącego z geniuszem talentu.

Mimo to Bloy nie przestaje tworzyć. Pisze w jakiejś wściekłej gorączce twórczej. Wyrzuca z siebie książkę za książką, z których każda jest natychmiast zatłumiana przez milczenie. „Zmowa milczenia" działa. Mimo to Bloy nie ustępuje.

W jego życiu osobistym jest jeszcze smutny fragment niedoszłego małżeństwa z Bertą Dumont. Ta kobieta pojęła, że jej rolą było podtrzymać pisarza, skazanego na walkę z całym światem. Ale ją właśnie siły zawiodły. Umarła. Potem już była cisza, aż do dnia, kiedy zdumiewający przypadek połączył Bloy z Joanną Molbech, córką duńskiego poety. 27 maja 1890 r. w kościele Saint Lambert odbył się ich ślub.

Joanna Bloy stała się jedynym, ale nad podziw wiernym towarzyszem autora „Le Desesperé". Zrozumiała z kim zetknął ją los, a ta świadomość zaważyła decydująco na jej życiu. Bez wahania wybrała życie w nędzy i w niedocenieniu, stanęła wiernie u boku męża. Będzie do końca współpracować z nim w dziele budzenia śpiących.

Okres małżeństwa, jest jednocześnie okresem wykrystalizowywania się typu dalszej twórczości pisarza. Jeszcze pisze utwory czysto literackie, jak „Histoires desobligeantes" oraz — po bolesnych doświadczeniach 1895 r. — drugą swą powieść: „La femme pauvre". Na tym zakończą się jednak próby tworzenia pół-fikcji literackiej.

Pisząc przedmowę do wyboru swych pism powie: „Wymaga się ode mnie tego, czego się nie wymaga od nikogo innego: żąda się abym pisał zawsze o Leonie Bloy. Dzień w którym napiszę o Bourgecie, czy o France'u, będzie uważany za dzień mego końca".

Rzeczywiście Bloy porzuca stylizację artystyczną. Pisze teraz jasno i wyraźnie o sobie. Co dwa, co trzy lata ukazywać się będzie nowy tom pamiętników pisarza. Te pamiętniki to najbardziej wstrząsająca miejscami powieść o niebywałym człowieku. Będzie ją kontynuować aż do śmierci, przetykając od czasu do czasu krótkimi studiami, na najbardziej pasjonujące go tematy.

I tak płynęło życie — lata całe — zawsze pełne trosk, smutków, płaczów a jednocześnie przesycone oszałamiającym zapałem tworzenia. Były lata pogodniejsze, cichsze, ale koniec miał być znowu okresem walki i cierpienia. 71-no letni Bloy umierał w trzecim roku Wielkiej Wojny, w nanowo odżyłej nędzy i ciągłej samotności, z coraz większym poczuciem nadchodzącego kataklizmu.

c. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

LIST DO REDAKCJI

„MATERIALIZM I WIARA"

Przypadek zrządził, że niedawno wpadły mi do rąk tygodniki **„Kuźnica"** nr 17 z r. 1948 i **„Dziś i Jutro"** nr 9 z 1948, a w nich artykuły czołowe: „Credo Materialistów" ks. prof. Piotra Oborskiego („Dziś i Jutro" i „Materializm i Wiara" prof. Władysława Krajewskiego („Kuźnica").

Dżentelmeński charakter wypowiedzi obu autorów, a więc pozbawiony złośliwości, zacietrzewienia i wzajemnej (choć powszechnej w prasie współczesnej) zjadliwości, prowadzi do spokojnej analizy wywodów, zawartych w wyżej wymienionych artykułach.

O co chodzi? W artykule pt. „Materializm i Wiara" p. Krajewski zbija dowodzenia ks. Oborskiego, dotyczące jego krytyki podstawowych tez diamatu (tj. materializmu dialektycznego). Chcąc podzielić się moimi wnioskami i uwagami z czytelnikiem zastanawiałem się, czy dla uproszczenia i upowszechnienia tych dwóch artykułów nie byłoby właściwym wypowiedzi obu autorów i moje ująć w przystępny „trialog"? Spróbuję tej ewentualności. P. Krajewskiego oznaczać będę literą „K", ks. Oborskiego literą „O", a siebie literą „B".

DIALOG:

K: Wybór tez jest dowolny w artykule „Credo Materialistów"!

O: Tym „dowolnym wyborem" obciążyłeś już moje „sumienie" — pokutuję za to.

B: Tezy diamatu, podważane czy też wyjaśniane przez „O" stanowią najsilniejszą sprzeczność ze spirytualistycznym światopoglądem, a Twój patetyczny apel, „K", do sumienia „O" jest nieekonomiczną stratą czasu.

K: Nasz diamat kwestionuje „stworzenie materii z niczego", a twierdzi, że istnienie materii odwieczne jest „jedynym poglądem na te sprawy, zgodnym z wymogami myślenia naukowego"!

O: „Odwieczne istnienie materii" głosił już Arystoteles, którego dzieła poprawiał Tomasz z Akwinu, później zaś ochrzcił je dla religii; nowości więc nie dowiaduję się. Natomiast to „odwieczne istnienie materii" jest wyrazem **własnej wiary w cudzą wiarę — dla wiary,** ale taka wiara nie jest wyrazem naukowej wartości!

B: Światopogląd spirytualistyczny nie nakazywał i nie nakazuje uznawać stworzenie świata w takiej postaci, w jakiej dziś istnieje; a religia uznawała i uznaje nie „teorię ewolucji", ale fakt ewolucji, czego dowodem są szeregi myślicieli katolickich i pisarzy katolickich.

K: Jedynie przywiązanie do tradycji religijnych, w których duchu wychowywali się od dziecka, nie pozwala niektórym uczonym zerwać z hipotezą o stworzeniu wszechświata z niczego!

O: Tradycja uczy, że ludzie — witając się lub żegnając — podają sobie ręce, a nie nogi.. czasami też ci ludzie całują się po twarzach, a nie po brzuchach, jednak inne tradycje ulegają zmianie lub są całkowicie usuwane z różnych względów, np. zdrowotnych, ekonomicznych, wygody życiowej itp. W żadnym z tych wypadków nie potrzeba jakiejś bohaterskiej odwagi dla zerwania z tradycją a już tym bardziej nie potrzebuje jej z całą pewnością prawdziwy uczony, który na pewno nie tradycją się kieruje w rzeczach wyznawanej prawdy, który bada ją i sercem — intuicją i rozumem — **intelektem,** i wiarą rozumną w przyczynę przyczyn"!

B: Jeżeli przyjąć (zgodnie z diamatem), że a) materia i energia istnieją odwiecznie, to w takim razie ta energia nie jest czynnikiem, który mógłby **wyłącznie wpływać i kierowniczo działać na kształtowanie się materii.**

b) Jeśli zaś ta materia jest odwieczna i ta energia jest odwieczna (zgodnie z diamatem) oraz, jeśli to przyjąć, że ta energia kształtuje materię, to w takim razie ta energia jest siłą roboczą, wykonawczą; zatem prócz energii roboczej musi istnieć jeszcze inny czynnik, a mianowicie kierowniczy! Gdzie?!

c) Jeżeli materia istnieje odwiecznie sama z siebie łącznie z odwieczną energią, oznacza to dla człowieka, myślącego matematycznie, więc naukowo, że mamy tu patrząc wstecz $-\infty$ (t. j. minus nieskończoność) — a w takim wypadku musi też istnieć i $+\infty$ (plus nieskończoność), czyli materia i energia istnieć będą wiecznie!!!

Tymczasem diamat, idący za hipotezami, wysuniętymi przez nauki przyrodnicze, zgadza się z tym, że życie kiedyś się skończy — (chociażby wg „drugiego prawa termodynamiki" t. zw. „śmierć cieplna").

K: Obecnie można ideę wieczności życia uważać za pochowaną! A nawet należy uznać ją za pochowaną!

B: Więc życie ustanie, ale musi trwać w nieskończoność materia i energia, czyli nie ustaną przemiany ewolucyjne w nieskończoność in plus $(+\infty)$?? (patrz „B" p. c). Dalej wróciwszy do minus nieskończoności $(-\infty)$, musimy konsekwentnie przyjąć, że takie przemiany odbywały się x-krotnie razy, a cała ludzkość — no i nie tylko ludzkość — zamieszkująca dzisiaj naszą ziemię, nie byłaby pierwszym tego rodzaju zjawiskiem na tym globie! Gdzież dowody naukowe na to? Chyba — ślepa wiara dla wiary...

K: Odwieczne istnienie materii i energii jest jedynym poglądem zgodnym z wymogami myślenia naukowego.

O: Odwieczne istnienie materii może być tylko przedmiotem wiary dla wiary! Tej wiary jednak nie można udowodnić, ani sposobem przyrodniczym, ani filozoficznym.

K: Prawo zachowania materii i energii obowiązuje nadal w świecie naukowej fizyki!

O: Współczesna nauka fizyki wskazuje co najwyżej na formę trwania materii, a nie wyrokuje o jej genezie, czym jest materia w swej istocie — nauka nic konkretnego i ostatecznego dotychczas nie powiedziała. Nowoczesne badania nad budową materii prowadzą do utożsamienia materii z energią, której przejawy, przynajmniej w świecie atomów, odznaczają się indeterminizmem! Badane są tylko efekty materii podczas działania, lecz te efekty — to końcowe etapy, gdzie występują już kwanty energetyczne!

K: Fizyka współczesna nie utożsamia materii z energią; wykryła tylko ścisły związek pomiędzy materią, a energią!

B: Obaj wy, zacni dżentelmeni, przespaliście właśnie ostatnie słowa współczesnej fizyki (nie wymieniam chemii, która obecnie jest nierozerwalnie związana z fizyką — stąd nazwa chemo-fizyki), a mianowicie: materia **jest jednym z różnych przejawów energii..** Żyjemy w XX wieku, bądźmy ekonomiczni i zostawmy „cuda" i „cudeńka", na uboczu. Panowie „K" i „O" Czas nagli, życie jest krótkie, czytelnicy wasi także nie mają czasu i chęci na przewlekłe dyskusje...

K: Dociekania nad istotą materii, badania jej budowy, są rzeczą fizyki a **bynajmniej nie filozofii.**

B: Pomimo ogromnego postępu w dziedzinie techniki i wielkich zdobyczy nauki przyrodniczej, nie można żadną miarą odrzucić usiłowań dociekania nad istotą materii również na drodze rozważań filozoficznych. Przecież diamat jest też niczym innym, jak systemem filozoficznym, więc dlatego nie może odgraniczać się od filozofii, a opierać się li tylko na badaniach przyrodniczych w swoim światopoglądzie. Tym bardziej, że „K" mówi dosłownie w swym artykule „Materializm a Wiara": „materializm dialektyczny kontynuuje linię filozoficzną od Heraklita i Demokryta, Epikura i Lukrecjusza przez Fr. Bacona i Spinozę, Diderota i Holbacha, Feuerbacha i innych materialistów. Koncepcje filozofów zwłaszcza starożytnych, opierane były więcej na intuicyjnych hipotezach niż na wynikach badań empirycznych!

K: Trudno mi zrozumieć dlaczego wskazywanie na virusy jest zdaniem „O", niepoważnym „wymigiwaniem się"? Przecież to na tych virusach mamy jeden z argumentów, potwierdzający, że nie ma przepaści pomiędzy światem żywym a martwym!

B: Wykrycie virusów, które uczeni niektórzy uważają za „formę przejściową" między materią nie ożywioną i ożywioną, w żaden sposób nie rozwiązuje problemu powstawania życia. Wystarczy elementarna znajomość biologii, a mianowicie, że virus dla swego biologicznego istnienia czynnego — t. j. aby „żyć" — musi mieć koniecznie właściwy grunt organiczny. A więc virus pasożytuje na żywych, organicznych istotach, a mianowicie na roślinach (np. virus mozaiki na liściach tytoniowych). Wynika z tego pewnik konieczności owy i warunkujący, że zanim virusy zaistniały, musiały istnieć już rośliny na których one mogłyby się rozwijać!

O: Na czym polega „wewnętrzny ruch materii"? Czy z prawa sprzeczności i walki przeciwieństw ma wynikać ciągły rozwój i postęp, czy coś odwrotnego; jakiś „dekadentyzm", **skoro diamat odrzuca możliwość myśli kierowniczej,** czy też działanie przyczyny sprawczej?

K: Diamat nasz nie narzuca z góry praw przyrody, lecz przeciwnie, wszystkie swe zasady wyprowadza z doświadczeń i z samej przyrody.

B: W matematyce, która jest ze wszystkich nauk ścisłych najbardziej ścisła, istnieją czyste pojęcia, których doświadczalnie t. j. empirycznie zbadać, ani wykazać nie można, (np.: co to jest idealny punkt geometryczny? co to jest znak nieskończoności? kwadratura koła? liczby urojone? liczby równań nie oznaczonych?). Również w fizyce istnieją czyste pojęcia, których definicje nie dadzą się do dziś konwenansowo ustalić (np.: co to jest siła? co to jest światło? — chociaż obserwujemy codziennie w naszym życiu przejawy światła czy też siły!

Otóż tak jest i w światopoglądzie religijnym (spirytualistycznym), gdzie można rozumnie przyjąć istnienie praprzyczyny, dzięki której powstała materia; tym bardziej, że za tym wywodem przemawia rozumnie fakt istnienia **określonej celowości** wszystkiego tego, co jest stworzone i co się przeobraża w całej przyrodzie z jej naturą!

Umysł ludzki, zdolności poznawcze człowieka, są w pewnych wypadkach ograniczone i zawodzą; z tej racji koniecznej umysł ludzki urabia i dostosowuje wg swoich możliwości pewne pojęcia, które wykraczają poza granice badania doświadczalnego...

J. Bąk

LIST DO REDAKCJI...

W związku z moim artykułem p. t. „Szkoła pracy", umieszczonym na łamach tygodnika „Dziś i Jutro" z dn. 5 grudnia 1948 r. p. Jan Gołąb nadesłał do Redakcji tegoż pisma list noszący tytuł „Pełne człowieczeństwo".

W liście tym p. Jan Gołąb czyni memu artykułowi cały szereg zarzutów.

Postaram się najpierw zarzuty te uporządkować. Dadzą się one sprowadzić do dwóch zasadniczych. Szkoła Deweya nie może być pod żadnym względem dla nas wzorem, gdyż 1) Dewey nie jest w zgodzie z marksistami, 2) Dewey nie jest w zgodzie z katolicyzmem, będąc bezbożnikiem. Stąd autor listu wysnuwa wniosek, że artykuł ten nie powinien się ukazać w piśmie katolickim, gdyż zaciemnia sprawę. Inne zarzuty dotyczą pragmatyzmu, że jest on „niemoralny" i „nierozumny" (sic!). Samego Dewey'a, że nie posiadł prawdy, a każe ją dziecku zdobywać, i, że wychowanie Dewey'a uczy egoizmu.

„Zaraza takiego wychowania egoistycznego, mówi dosadnie autor listu — zdołała się już rozejść po całym świecie".

Dalej następuje zarzut, że entuzjazmuję się „pogańskimi pomysłami zagranicznymi".

Zakończenie listu, to osobiste credo autora, jako zupełnie nie związane z tematem, pominę.

Zastanawiając się nad tymi zarzutami nie mogę zrozumieć stanowiska autora listu. Czy chce on, zgodnie z poglądami sowieckiego pedagoga W. S. Szewkina, który w artykule radzieckiego czasopisma „Sowietskaja Piedagogika" (nr 12 z r. 1947) ostro polemizuje z pedagogiką Dewey'a z punktu widzenia marksistowskiego, z tegoż punktu widzenia tę pedagogikę potępić, czy też potępia ją jako katolik. „Artykuł W. S. Szewkina ukazał się w tłumaczeniu polskim Michała Szulkina w Nowej Szkole, maj — czerwiec 1948 r.

Zamieszczone w końcu listu credo świadczyłoby o tym, że autor jest katolikiem. Jest tu więc jakaś wybitna niekonsekwencja i niezrozumienie.

Pan Jan Gołąb powołując się na argumenty zaczerpnięte w pierwszym rzędzie z artykułu prof. S. W. Szewkina, mówiąc „Posłuchajmy najpierw, co o tym mówią marksiści"... — zapomniał, że właśnie tenże Szewkin zarzuca Dewey'owi walkę z materializmem. Dla ścisłości posłużę się cytatami: „Dewey jako instrumentalista dąży do obalenia za wszelką cenę materializmu" (Nowa Szkoła, str. 45).

Zarzuca on poza tym Dewey'owi mistycyzm i idealizm i tak charakteryzuje pragmatyzm James'a, na którym, jak wiemy opierał się Dewey.

„James upatrywał w pragmatyzmie najbardziej dogodny środek do pogodzenia nauki z religią, przyznawał otwarcie, że pragmatyzm rozszerza pole poszukiwań Boga, że filozofia pragmatyczna, ani w początkach, ani w końcowych wnioskach nie usuwa pozytywnych budowli religijnych! ona zachowuje z nimi ściślejsze związku".

(W. James, Pragmatyzm 1910 r.).

A dalej, aby nie było wątpliwości:

„Pragmatyzm — instrumentalizm w tej postaci, w jakiej jest obecnie rozpowszechniony w Ameryce nie różni się niczym istotnym od pragmatyzmu James'a". (Nowa Szkoła, str. 53).

I jeszcze jeden cytat z tegoż artykułu:

„Instrumentalizm Dewey'a oznacza obronę i usprawiedliwienie religii".

A więc gdzież to bezbożnictwo Dewey'a, które mu tak p. Gołąb zarzuca?

Widać, że nieuważnie przeczytał autor listu artykuł prof. Szewkina, na który się powołuje.

A już z pewnością nie czytał dzieł Dewey'a, jeżeli zarzuca mu egoistyczne wychowywanie.

Wielki pedagog genewski Claparède charakteryzując pedagogikę Dewey'a (patrz wstęp do „Szkoła a dziecko" — Dewey'a), jako jej zasadniczą cechę wymienia jej **społeczność.** Czyż pedagogika społeczna może kultywować egoizm?

Właśnie ta społeczność wychowania stanowi istotę szkoły Dewey'a. A jak zapatruje się Dewey na moralność w wychowaniu? Zacytuję jego własne słowa: „System wychowania, któryby nie uznawał odpowiedzialności moralnej... byłby bez wartości" (Szkoła a dziecko, str. 130).

A teraz ostatni zarzut: „Że entuzjazmuję się pogańskimi pomysłami zagranicznymi".

Jak wynika z podanych cytat nie są one pogańskie i bezbożne, choć nie mają może etykiety, że są wybitnie katolickie. Ale czyż doktryna katolicka ma być zacieśniona i przestarzała? Czy nie jest obowiązkiem inteligentnego katolika poznawać myśli innych i nad nimi się zastanawiać, jeśli myśli te są oryginalne i śmiałe i świadczą o rzetelnym poszukiwaniu prawdy?

Decydującą jest tu rzetelność w szukaniu prawdy, a nie to, czy ona jest zagraniczna. Kontakt z nowymi myślami całego świata jest dla postępu wiedzy konieczny. Mogą nam poglądy danego myśliciela nie we wszystkim odpowiadać i możemy je częściowo odrzucić, ale jeśli wnosi zdrowe ziarna prawdy warto i należy o nim pisać!

Halszka Krajewska

SPROSTOWANIE

Do nr 4 (166) naszego pisma wkradł się przykry błąd, zmieniający sens wypowiedzi naszego czytelnika podpisanego L. T.

Mianowicie w 27 wierszu rubryki „Czytelnik uważa, że..." wydrukowano „tyranem" zamiast „taranem".

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-66961